MIĘDZYNARODOWA ODEZWA MŁODZIEŻY

39 Rok XVI (828)

CENA 1.50 ZŁ.

30.9.73.

CHILE!

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

PRZED KRAJOWĄ KONFERENCJĄ PARTYJNĄ

W POŁOWIE DROGI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Swego czasu w małej podłódzkiej osadzie Ochotnicza Straż Pożarna otrzymała nowy samochód strażacki. Potrzebny był kierowca. Postanowiono wybrać człowieka doświadczonego, statecznego, który potrafiłby dbać o nowy sprzęt, był dokładny w swoich poczynaniach, solidny. Znaleziono takiego człowieka. Odpowiadał wszystkim wymaganiom. Miał tylko jedną wadę. Nie lubił szybko jeździć. I dzięki temu straż pożarna z tej podłódzkiej osady zjawiała się zawsze do pożaru ostatnia, kiedy trzeba było już tylko dogaszać spalenisko.

Przypomniałem sobie tę historyjkę zupełnie już niedawno, kiedy jechałem autobusem MPK, prowadzonym przez kierowcę o najdowych skłonnościach. Pędził miejskim autobusem jak szalony, hamował i ruszał nadzwyczaj gwałtownie. Ludźmi rzucało po autobusie. Aż wreszcie ktoś dowcipny skomentował:

— On zbyt dosłownie pojął wezwanie do przyśpieszania.

Każdy okres, jaki przeżywaliśmy w naszej blisko już trzydziestoletniej historii Polski Ludowej charakteryzował się innymi hasłami. Były hasła oficjalne i te, które rodziły się ze społecznej obserwacji. Przecież jeszcze nie tak dawno mówiło się u nas: „jakoś to będzie", „czy się stoi, czy się leży dwa tysiące się należy". Dziś nawet w żartach mówi się o „wydłużaniu kroku" i „przyśpieszeniu". Hasła te bowiem odpowiadają rzeczywistym potrzebom i zostały powszechnie zaakceptowane. Ale nawet najsłuszniejsze hasła nie zmienią rzeczywistości, jeśli nie będą powszechnie realizowane.

Dalszy ciąg na str. 3

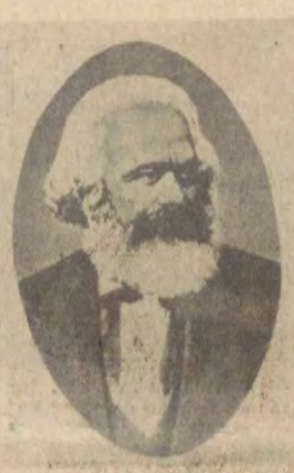

„POCHOWANY W JEJ OBJĘCIACH..."

Czytaj na str. 3

DZIENNIK

FRAGMENTY

ANDRZEJ GRUN

Piątek

To już ostatnie godziny nad rzeką. Ostatnie chwile mojego lata. Spakowałem plecak, zwinąłem namiot, zacieram ślady swego tu Robinsono ego bytowania. Sierpniowy dzień jest jak potąg słońca... Żal stąd odchodzić, z tego rezerwatu oblaskawionych buków i łagodnych, przyjaznych wzgórz. Żebyż to wszystko pozostało na zawsze rezerwatem „gdzie chodzić nie wolno pod bronią". A co ja tu znajdę za rok... za dwa...? Przez dwa tygodnie parę razy zaledwie rozmawiałem z ludźmi i było mi z tym bardzo dobrze...

Któregoś dnia jakaś parka rozbiła sobie namiot o jakieś trzysta metrów w dół rzeki. Słyszałem jak ryczeli na tranzystorze do późnej nocy, palili ognisko jakby palili stodołę — brali mnie diabli — chętnie bym potopił. Ale na szczęście jakiś znakomity zaskroniec wlazł panience pod kocyk i zraził skutecznie parkę do życia na łonie natury. Dzięki za to zaskrońcowi i tym wszystkim zaskrońcom, co go na świat wydały. Potem już była cisza. A swoją drogą trzeba łazić bez przerwy w gumiakach, bo od żmij i węży roi się tu wszędzie. Sierpniowe upalne dni i przegrzane kamienie — to zdaje się być tym właśnie, co te gadziny lubią najbardziej. Nie mam do nich o to pretensji, bo sam to lubię.

Spotkałem T. Lazł wolno brzegiem od Soliny — tu dwa, trzy dni posiedział, gdzie indziej tydzień, łapał ryby, jadł i spał. Lubi, jak i ja, samotne włóczęgi i bardzo nie lubi turystów, a zwłaszcza tych sobotnio-niedzielnych, zmotoryzowanych wandali z tranzystorami, rozkładanymi krzesełkami, wódą i koszami żarcia, którzy pozostawiają po sobie istne pobojowisko. Nie ma na nich siły. Bo kto ma na nich właściwie pilnować? Strażników

Dalszy ciąg na str. 6

TROPAMI DAWNYCH LAT

ZOFIA TARNOWSKA

Jeszcze kilka dni... Ostatnie przygotowania do wielkiej inauguracji łódzkiego roku akademickiego. Przeszło 20 tysięcy studentów rozpocznie nowy rok nauki na wyższych uczelniach. Który to już rok? Dwudziesty dziewiąty... Wielkie osiedle domów akademickich — opuszczone na okres wakacji — zaroiło się „starymi" i nowymi mieszkańcami. Chodzę po tej dzielnicy — jakże odrębnej od innych i szukam dawnych lat... Ale nie znajduję tu śladów przeszłości akademickiej Łodzi.

Dwadzieścia dziewięć lat temu było tu puste pole, odległe od miasta. Pasły się krowy i owce. Można je jeszcze spotkać obok ośrodka sportowego AZS opodal ogródków działkowych, na skrawku poletka, pozostałego jeszcze jakby przez zapomnienie budowniczych, którzy wznieśli ten wielki zespół mieszkań studentów łódzkich.

Wiem, gdzie szukać starych śladów. Znam ten dom tak dobrze... Ilekroć przechodzę koło posesji nr 17 przy al. Kościuszki, tylekroć muszę się zatrzymać. Patrzę w okna, wchodzę potem w bramę, na podwórko, zamykam oczy i...

Jestem znowu w małym pokoiku, okropnie zatłoczonym. Odrapane biurka i stoły, a każdy z tych sprzętów stanowi odrębną „instytucję". Tu mieści się Prezy-

Dalszy ciąg na str. 4

MIECZYSŁAW WEJMAN — „Rowerzysta" — akwaforta

— INAUGURACJA NOWEGO ROKU KULTURALNEGO —

Tym razem zaszczyt inauguracji nowego sezonu kulturalnego przypadł ziemi szczecińskiej, gdzie 22 września odbyły się centralne uroczystości. Wyróżnienie to zasłużone, gdyż Pomorze Zachodnie zaznacza się z każdym rokiem coraz wyraźniej na kulturalnej mapie kraju. Dotyczy to zarówno form artystycznego działania, upowszechnienia dorobku kulturalnego, podejmowanie cennych inicjatyw na rzecz rozwoju tworzenia bazy kulturalnej, rozwoju czytelnictwa, ruchu amatorskiego. W Szczecińskiem od lat odbywają się popularne w kraju festiwale, organowy w Kamieniu Pomorskim. studencka FAMA w Świnoujściu.

...W KRAJU

Jak w całym kraju centralnej inauguracji towarzyszyły uroczystości otwarcia nowych placówek kulturalnych, powstałych głównie w czynach społecznych. W woj. szczecińskim były to Powiatowy Dom Kultury w Łobzie i Gminny Ośrodek Kultury w Pełczycach. Ponadto goście z całego kraju zwiedzili Goleniów, miasto wielu ciekawych i cennych inicjatyw kulturalnych. Tutaj organizowane są plenery studentów warszawskiej ASP (nic więc dziwnego, że parki, skwery i place udekorowane są rzeźbami). Co roku w Goleniowie odbywają się Dni Muzyki i Tańca, poświęcone muzyce poważnej. Dodajmy do tego Dni Pisarzy Szczecińskich i Dni Kultury Radzieckiej, by przekonać się, że dzięki inicjatywie władz i działaczy kulturalnych, można na tzw. prowincji rozbudzić w społeczeństwie głód kultury, uczynić je chłonne i otwarte na twórcze dokonania we wszystkich dziedzinach sztuki.

Tegoroczna inauguracja miała również i roboczy aspekt. Na szczecińskim zamku zebrała się Centralna Komisja Koordynacyjna, aby omówić jeden z najważniejszych problemów: kształcenie kadr kulturalno-oświatowych. Dyskusja przebiegała pod słusznym hasłem: **„jutro kultury zaczyna się dzisiaj".** Wiadomo bowiem, że wzrasta poziom wykształcenia społeczeństwa, a wraz z tym poziom i wymagania odbiorców dóbr kulturalnych. Pracownicy kultury muszą więc sprostać tym wymaganiom. Do bezpowrotnej przeszłości należą już zjawiska kierowania do kultury ludzi, którzy nie sprawdzili się gdzie indziej zgodnie z jakże fałszywym założeniem, że w „kulturze już niczego nie zawalą, bo niby co?"

Mówiąc o przeszłości kultury, jej potrzebach i możliwościach warto przy okazji przypomnieć kilka liczb, które nie mówią wszystkiego, ale w jakimś stopniu określają „podstawy wyjściowe". Na terenie kraju działa obecnie ponad 26 tys. placówek kulturalnych. Są to domy kultury wszystkich szczebli, gminne i zakładowe ośrodki kultury, kluby. (Liczba ta nie obejmuje zawodowych teatrów, oper, filharmonii, muzeów). Gdybyśmy spojrzeli na lokalizacje tych placówek, zauważymy od razu duże dysproporcje między miastem, a wsią. Np. na terenie wiejskim działa tylko 700 domów i ośrodków kultury. Tworzone obecnie gminne ośrodki kultury będą te różnice wyrównywać, chociaż wymaga to czasu. Charakterystyczny dla wsi jest fakt posiadania więcej niż w mieście klubów i świetlic, — ok. 15 tysięcy, (w mieście ponad 9 tys.). Wymagają one jednak unowocześnienia i znacznie lepszego wyposażenia niż dotychczas.

Przytoczone liczby sprawiają wrażenie, że dysponujemy poważną bazą dla upowszechnienia kultury, To prawda, ale w stosunku do szybko rosnących potrzeb nie jest to baza wystarczająca. Gorzej jednak przedstawia się sytuacja kadrowa w kulturze. Przytoczmy znów dla ilustracji kilka liczb. W br. wszystkie placówki upowszechniania kultury zatrudniają ok. 18.500 etatowych pracowników. (Poza kilkutysięczną rzeszą pracowników na ryczałtach i na prowizji z działalności handlowej w klubach, oraz działaczami społecznymi). Wśród pracowników etatowych tylko nieliczni posiadają wyższe wykształcenie, zaledwie połowa pełne średnie. Nie jest więc dobrze, ale musimy zdawać sobie sprawę, że nie można dokonać przełomu od zaraz. Obecny rok powinien w tym zakresie przynieść istotne zmiany. Powszechna jest już bowiem świadomość, że realizacja zadań w kulturze, taka jakiej oczekujemy, musi opierać się na zaangażowanej ideowo i wysoko kwalifikowanej kadrze. Podjęto więc szereg konkretnych przedsięwzięć umożliwiających kształcenie pracowników klubów, domów kultury i bibliotek. Od bieżącego roku akademickiego uruchamia się na wyższych uczelniach specjalistyczne kierunki kształcenia pracowników kultury. Stwarza się również korzystne warunki dla dokształcania ludzi, nie tylko dla zdobycia formalnego cenzusu, ale przede wszystkim praktycznego podniesienia umiejętności.

ROK KULTURALNY 1973/74 JEST OKRESEM PRZYGOTOWAŃ I OBCHODÓW XXX-LECIA POLSKI LUDOWEJ. Poprzedzają ten jubileusz tak ważne rocznice jak XXX-lecie ludowego Wojska Polskiego, XXV-lecie zjednoczenia ruchu robotniczego, XXX-lecie powstania KRN. Pokazanie dorobku tych lat, rozmiarów przeobrażeń politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych — oczywiście w kontekście dnia dzisiejszego — będzie realizowane m.in. przez różnorodne przedsięwzięcia kulturalne, repertuar placówek artystycznych, wydawnictwa, firmy, dobór programów placówek upowszechniania kultury.

„Chodzi m.in. o to — jak powiedział **Stanisław Wroński,** minister Kultury i Sztuki — **aby utrwalić w dziełach sztuki i w świadomości społecznej historyczną drogę roz wojową, naszego kraju, aby przeszłość stawała się źródłem dla wytyczenia i urzeczywistnienia przez młode pokolenie nowych wspaniałych wizji i celów."**

Odmienny niż zwykle charakter miało rozpoczęcie nowego roku kulturalnego i sezonu artystycznego 1973/1974 w Łodzi. Tym razem zamiast galowego koncertu miało miejsce robocze spotkanie partyjnych i administracyjnych władz miasta z przedstawicielami środowisk twórczych i działaczy kultury.

...W ŁODZI

Już o godzinie 9-tej prawie osiemdziesięcioosobowa grupa twórców pod przewodnictwem Głównego Architekta miasta inż. J. Sadowskiego wyruszyła autokarami na zwiedzanie... Łodzi. Pomysł tylko w pierwszym momencie wydaje się dziwny. Niby wszyscy znamy swoje miasto, ale tak na dobrą sprawę różnie z tym bywa. Tym bardziej, że ruch budowlany jaki na dobre zaczął się w Łodzi po 1970 roku, nadał już wyraźny kształt architektoniczny Łodzi, widoczny szczególnie na obrzeżach miasta, w nowych dzielnicach mieszkaniowych i przemysłowych. Taki więc rekonesans uzupełniony fachowym komentarzem inż. Sadowskiego, pozwolił wszystkim uczestnikom „wycieczki" uzmysłowić sobie nie tylko tempo budowy i przebudowy miasta, ale również ogrom podejmowanego wysiłku i wielkość nakładów jakie państwo przeznaczyło na ten cel.

Zwiedzenie osiedli poprzedziła wizyta w Łódzkim Kombinacie Budowy Domów. Tutaj najłatwiej zrozumieć, że nakreślone z rozmachem plany budownictwa są realne i zostaną w określonych terminach zrealizowane. Dzięki właśnie nowym technologiom, metodom przemysłowym nowe dzielnice jak Teofilów, Retkinia, Dąbrowa przekształcą się w 60–90-cio tysięczne miasta-osiedla wielkością przewyższające niektóre miasta wojewódzkie.

I drugi akcent: przemysł. Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów" są wizytówką naszego przemysłu przyszłości, wizytówką nowoczesności. Ten koncern zaprojektowano z wielkim rozmachem. Wystarczy przytoczyć kilka liczb. Nakłady 3,2 mld zł. Docelowa produkcja 5,5 mld. zł. zatrudnienie 9 500 pracowników. Wyposażony w najnowocześniejsze maszyny na świecie: francuskie, angielskie, niemieckie; w większej części automaty sterowane komputerami. I co ważniejsze produkujący na potrzeby rynku.

Zapoznanie się przez twórców i działaczy kultury z tymi, pozornie odmiennymi, problemami przemysłu i budownictwa, było jakże wymownym wstępem do spotkania i rozmowy z gospodarzami Łodzi, które odbyło się w gościnnej Bibliotece im. Waryńskiego. Nikogo już bowiem od pewnego czasu nie trzeba przekonywać, że kultura i gospodarka tworzą organiczny związek, są wzajemnie uwarunkowane, że żadna z tych dziedzin nie może się rozwijać w pełni i harmonijnie bez rozwoju drugiej.

Taki też był główny akcent spotkania prowadzonego przez kierownika Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi W. Boczkowskiego, w którym wzięli udział: I sekretarz KŁ PZPR — tow. Bolesław Koperski, sekretarz KŁ — tow. Jerzy Chabelski, przewodniczący Prezydium RN — tow. Jerzy Lorens oraz kierownik Wydziału Propagandy KŁ — tow. Zbigniew Faliński. Po obszernym wystąpieniu przewodniczącego J. Lorensa, który mówił o dotychczasowej, blisko trzyletniej realizacji planów budowy i rekonstrukcji miasta, oraz zadaniach na najbliższe lata, rozpoczęła się dyskusja — rozmowa na temat najważniejszych problemów rozwoju kultury w naszym mieście. Problemów, które dopiero nas oczekują, jak wynika to z pierwszej wersji „Programu rozwoju kultury w Łodzi do r. 1990" — i tych, które przynosi czas teraźniejszy i najbliższy. W dyskusji (wzięli w niej udział m. in. R. KACZMAREK, J. MACIEJOWSKI, PROF. DR K. JAŻDŻEWSKI, R. STANISŁAWSKI, A. HUNDZIAK, J. WAWRZAK) zabrali głos przedstawiciele prawie wszystkich środowisk twórczych, dając wyraz swoim niepokojom i nadziejom... Nie brakowało głębszych refleksji na temat perspektyw rozwojowych kultury w naszym mieście, a także konkretnych i rzeczowych wniosków do zrealizowania w najbliższej przyszłości. Przedstawiciele środowisk twórczych poinformowali zebranych o podejmowanych działaniach związanych z otwarciem tegorocznego sezonu artystycznego, z uwzględnieniem zamierzeń związanych z obchodami XXX-lecia Polski Ludowej. Jest to zarówno duża szansa dla aktywizacji twórczej samych środowisk jak i możliwości zbliżenia ludzi sztuki do społeczeństwa, do ludzi pracy.

Oczywiście, spotkanie było tylko otwarciem sezonu. Wiele problemów i tematów zostało tylko zasygnalizowane, zgłoszone do rozpatrzenia. Jednakże można było z tego spotkania wynieść wrażenie, że kontynuacja rozpoczętego dialogu będzie mieć miejsce, że nie skończy się na słowach i deklaracjach. Będziemy na łamach „Odgłosów" tym zapowiedziom towarzyszyć, prezentować plany i zamierzenia, oceniać dokonania.

W dyskusji zabrał głos tow. Bolesław Koperski — I Sekretarz KŁ PZPR. Nie napisałem stereotypowo: podsumował, gdyż w moim odczuciu było to bardziej tej dyskusji uzupełnieniem i usytuowaniem jej na tle naszych możliwości i ambicji. Ten wprowadzony przez I Sekretarza KŁ szerszy kontekst był niezbędny, uzmysłowił zebranym skalę potrzeb i skalę trudności, konieczność przełamywania starych nawyków i przyzwyczajeń, świadomość wspólnej odpowiedzialności za gospodarczy i kulturalny rozwój naszego miasta. Składając życzenia pomyślnej pracy twórcom i działaczom kultury, I Sekretarz KŁ stwierdził jednocześnie, że istnieją obecnie wszelkie warunki, aby rezultaty wspólnego działania były lepsze niż w przeszłości. I takie przeświadczenie wyrazili sami twórcy — i na pewno potwierdzą je konkretnymi osiągnięciami w roku kulturalnym 73/74.

J. W.

ZE ŚWIATA

- Forum 135 państw
- Genewska tura europejskiej konferencji
- Terror w Chile
- Pat wyborczy w Szwecji

Kiedy w październiku 1946 roku została ratyfikowana, a tym samym weszła w życie Karta Narodów Zjednoczonych, liczba państw członkowskich ONZ wynosiła 51. Ale jeszcze wcześniej, bo na konferencji założycielskiej Organizacji — w kwietniu 1945 roku, podkreślono, że ma być ona uniwersalną. Kierując się zasadą powszechności w następnych latach rekomendowano do ONZ kolejne państwa, które posiadały w pełni politykę niepodległości, prowadziły pokojową politykę i przyjęły na siebie zobowiązania, wynikające z Karty. Jednak nie wszystkie przyjęto. W dziejach ONZ były okresy pełnego impasu w przyjmowaniu nowych członków, powodowane dyskryminacyjną polityką mocarstw zachodnich.

Ta krótka refleksja historyczna nasuwa się w związku z otwarciem 28 sesji Zgromadzenia Ogólnego i jej inauguracyjną decyzją — o przyjęciu w skład członków dwóch państw niemieckich: NRD i NRF. Obecnie — po przyjęciu również Wspólnoty Bahama — liczba państw członkowskich wzrosła do 135.

Uznanie dwóch państw niemieckich za równe wobec prawa międzynarodowego jest zwycięstwem realizmu, za którym zawsze opowiadały się kraje socjalistyczne. Jest także kolejnym krokiem w kierunku umocnienia pokoju i bezpieczeństwa narodów. Dla NRD, której obecności na mapie politycznej świata Zachód nie zauważał przez całe lata, jest to sukces najważniejszy.

O bogatym porządku dziennym 28 sesji, dalszych pokojowych inicjatywach — napiszemy innym razem, teraz pozostawiając miejsce przede wszystkim na omówienie II etapu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa Współpracy.

Z udziałem przedstawicieli 33 państw Europy oraz USA i Kanady rozpoczęła się pracowita druga runda konferencji. Tym razem dyskusje toczą się w trzech komisjach i jedenastu podkomisjach. Pracuje również komitet koordynacyjny. Głównymi tematami rozważań są: bezpieczeństwo w Europie, współpraca na płaszczyźnie gospodarczej i naukowo-technicznej oraz wymiana kulturalna i informacyjna. Kraje socjalistyczne, jak pamiętamy, w każdej z omawianych dziedzin przedłożyły swoje propozycje.

Zadaniem genewskiej fazy konferencji będzie także ustalenie czasu i szczebla trzeciego etapu, który ma się odbyć w Helsinkach.

Z doniesień agencyjnych wiemy, że jako pierwsza rozpoczęła merytoryczną dyskusję podkomisja do spraw środków budowy zaufania. Rozpatruje ona trzy projekty: radziecki, brytyjski i rumuński, które m. in. przewidują wzajemne uprzedzanie się o większych ćwiczeniach wojskowych i zapraszanie na nie obserwatorów. Na tym przykładzie widać, jak szczegółowe zagadnienia dyskutuje się w Genewie. Nic więc dziwnego, że ten etap — choć mało spekulatywny — jest najważniejszym i decydować będzie o powodzeniu całej konferencji. Opinia publiczna nie będzie mogła uważnie śledzić przebiegu dyskusji, gdyż posiedzenia mają charakter zamknięty.

Napływające z Chile informacje wskazują, że reakcyjna junta wojskowa rozwija przemoc wobec sił postępowych. Ostatnio zdelegalizowano wszystkie partie, wchodzące w skład Frontu Jedności Ludowej, a więc: Partię Komunistyczną, Socjalistyczną, Radykalną, Ruch Wspólnej Akcji Ludowej oraz Partię Lewicy Chrześcijańskiej. Wcześniej rozwiązano Kongres oraz zniesiono konstytucyjne gwarancje praw obywatelskich. W dalszym ciągu szerzą się represje, którym towarzyszy antykomunistyczna histeria.

Wybory w Szwecji zakończyły się parlamentarnym „patem". Przyniosły one równy podział mandatów między partiami robotniczymi i blokiem niesocjalistycznym. Premier Olof Palme odrzucił wprawdzie możliwość podania się do dymisji, ale nie słabną pogłoski o ewentualności rozpisania nowych wyborów, które miałyby odbyć się wiosną. Jedną z tymczasowych dróg wyjścia z sytuacji mogłoby być zmniejszenie liczby miejsc w parlamencie do 349 (o jeden mandat). Sytuacja powyborcza w Szwecji interesuje żywo europejskich komentatorów.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

„POCHOWANY W JEJ OBJĘCIACH...“

W swojej znakomitej „Spowiedzi" Karol Marks, posługując się słowami Terencjusza napisał: **„Nic co ludzkie nie jest mi obce".** I jest to chyba najbardziej wierny portret tego wielkiego myśliciela i rewolucjonisty. Marks był niezwykle uzdolniony, a w swojej działalności osiągnął rzadko spotykany uniwersalizm. Przecież jego prace z dziedziny filozofii, historii, ekonomii politycznej, skierowały myśli na zupełnie inne, nieznane dotąd tory i wywołały rewolucję w dotychczasowym pojmowaniu zjawisk. A obok tego Marks świetnie znał fizykę, chemię, biologię, astronomię, geologię, anatomię, fizjologię, historię i teorię techniki. Doskonale radził sobie z wyższą matematyką, studiował literaturę i sztukę (w młodości sam pisał wiersze, dramaty, opowiadania, a nawet napisał powieść!). Wiedział, że znajomość obcych języków jest także orężem, uczył się ich zawzięcie i systematycznie. „Kapitał" – został napisany po niemiecku, „Nędza filozofii" – po francusku, artykuły dla prasy amerykańskiej pisał po angielsku. Ponadto czytał w oryginale starogreckie teksty oraz Dantego, Cerwantesa, Puszkina. A miłość? Temu uczuciu poświęcił sporo miejsca zarówno w korespondencji z żoną, jak i odpowiadając na „ankietę" swoich córek, które chciały uzyskać jego odpowiedzi na wiele podstawowych pytań. Zachowały się także odpowiedzi na „ankietę" Karola Marksa, jego żony Jenny, Fryderyka Engelsa, Walerego Wróblewskiego, Karola Liebknechta i Paula Lafarque'a.

Marks pisał:

„Jeśli kochasz bez wzajemności, to znaczy, jeśli twoja miłość, jako miłość, nie rodzi wzajemnej miłości, jeśli swoją postawą życiową, jako kochający człowiek, nie stajesz się człowiekiem kochanym to twoja miłość jest bezsilna, i jest nieszczęściem".

A w innym miejscu:

„Wyobraź sobie teraz człowieka jako człowieka i jego stosunek do świata jako stosunek ludzki: w takim przypadku możesz miłość zamienić jedynie na miłość, zaufanie na zaufanie itd".

Studiując spuściznę wielkiego filozofa nie można pominąć milczeniem jego głębokiego przywiązania do kobiety, która niemal przez pół wieku była jego jedyną, nieprzemijającą miłością. Jego zachwyt nad Jenny von Westphalen w roku 1881 był taki sam, jak w 1837, kiedy jako 19-letni młodzieniec kroczył ulicą Neuestrasse, aby się oświadczyć o rękę dwudziestotrzyletniej córki barona.

„W ciągu całego swego życia — pisała Eleonora, córka Karola — Marks nie tylko kochał lecz był zakochany w swojej żonie. Przede mną leży miłosny list płonący taką namiętnością, jakby pisał go 18-letni młodzieniec, a przecież Marks napisał ten list w 1856 roku, już po tym jak Jenny urodziła sześcioro dzieci".

A oto fragment tego listu:

„Najdroższa! Znów piszę do ciebie, dlatego, iż znajduję się w samotności i dlatego, że ciężko mi w myślach nieustannie rozmawiać z tobą skoro ty o tym ani nie wiesz, ani nie możesz mi odpowiedzieć. Mimo, że portret jest nieudany, przecież służy mi i teraz rozumiem dlaczego nawet „posępne Madonny" najbardziej brzydkie wizerunki Matek Boskich, mogły znajdować zazdrosnych wielbicieli, a nawet liczniejszych wielbicieli, niż wizerunki udane. W każdym razie ani jeden z tych posępnych wizerunków Madonn nie był tylekroć całowany, oglądany z takim rozczulającym namaszczeniem, ani jednego z nich tak nie adorowano, jak tę twoją fotografię, która wcale nie oddaje twojej miłej, czarującej, „dolce", jakby stworzonej do pocałunków twarzy. Ale ja udoskonalam to, co tak źle utrwaliły słoneczne promienie i znajduję, że moje oczy, choć zepsute od lampy i tytoniowego dymu, mimo to potrafią tworzyć obrazy nie tylko we śnie, ale i na jawie. Całaś przede mną jak żywa, noszę cię na rękach, okrywam pocałunkami od stóp po głowę, padam przed tobą na kolana i wzdycham: „Kocham Cię, madame!" I rzeczywiście, kocham mocniej niż kochał niegdyś Maur z Wenecji. Obłudny i pusty świat tworzy sobie kłamliwą i powierzchowną opinię o ludziach. Któryż z moich licznych oszczerców i plotkarskich wrogów wyrzucał mi kiedykolwiek, że nadaję się na pierwszego amanta w jakimś tam drugorzędnym teatrze? A przecież tak jest isotnie. Gdyby ci łajdacy mieli odrobinę poczucia humoru, narysowaliby „stosunek przedsiębiorstwa i wymiany" na jednej stronie, a mnie u twoich stóp na drugiej. Popatrzcie na ten i na ten obrazek! — głosił by podpis. Lecz ci łajdacy są głupi i pozostaną głupcami na wieki wieków.

... Wystarczy, że przestrzeń nas rozdzieli, a natychmiast przekonuję się, że czas przysłużył się mojej miłości tak, jak słońce i deszcz służą roślinie — dla wzrostu. Moja miłość ku tobie, wystarczy abyś się znalazła daleko ode mnie, staje się taką, jaką jest w rzeczywistości — jest wielkoludem, w niej koncentruje się cała moja duchowa energia i cała siła moich uczuć. Znów czuję się człowiekiem w pełnym znaczeniu tego słowa, bowiem doznaję ogromnej namiętności... miłość do ukochanej, do ciebie, robi człowieka na nowo człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Uśmiechniesz się moja miła i zapytasz, dlaczego to popadłem nagle w retorykę? Lecz gdybym mógł przytulić twoje delikatne, czyste serce do swojego, milczałbym i nie wymówiłbym ani słowa. Pozbawiony możliwości całować cię ustami, jestem zmuszony odwoływać się do słów, by za ich pomocą przekazać ci moje pocałunki. W rzeczywistości mógłbym nawet pisać wiersze i przerymować „Libri Tristum" Owidiusza na niemieckie „Księgi boleści". Owidiusz był odsunięty od imperatora Augusta. Ja natomiast jestem odsunięty od ciebie, a tego Owidiuszowi nie danym było poznać.

Bezsprzecznie, na świecie żyje wiele kobiet, niektóre z nich są piękne. Lecz gdzie mogę znaleźć twarz, której każdy rys, nawet każda zmarszczka budziłaby we mnie najsilniejsze i najpiękniejsze wspomnienia mojego życia? Nawet moje niekończące się cierpienia, moją niewynagrodzoną stratę odczytuję na twojej miłej twarzy i pokonuję te cierpienia kiedy obsypuję pocałunkami twoją drogą twarzyczkę. „Pochowany w jej objęciach — zmartwychwstał od jej pocałunków" — właśnie w twoich objęciach i twoimi pocałunkami...

Żegnaj moja ukochana, tysiące i tysiące razy całuję ciebie i dzieci. Twój Karol."

W ciągu całego długiego życia istniały w nim obok siebie namiętność i trzeźwość, uniesienie i rozsądek, płomień i zimna krew. Ten trzeźwy realista, który doszedł do naukowego komunizmu, w sprawach uczuć pozostawał romantykiem, posyłającym swojej Jenny najbardziej płonące, namiętne i porywające listy. Był bezkompromisowy zarówno w prowadzonej przez siebie walce, jak i w swoich uczuciach. We wspomnieniach jego najbliższych oraz we wspomnieniach przyjaciół zachowało się wiele wzmianek o tej jego namiętności i przywiązaniu do żony, o jego stanowisku wobec spraw miłości. Jeszcze raz wypada przytoczyć fragment wspomnień córki Eleonory. Jest to wstrząsająca relacja, a przy tym stanowi przyczynek do portretu Karola Marksa jako człowieka, bez tych wszystkich brązów, jakie z czasem pokrywają wszystkich wielkich tego świata. Eleonora wspomina:

„To był przerażający czas... W pierwszym, wielkim pokoju leżała nasza mama, w malutkim, obok, znajdował się Maur... Maur raz jeszcze przezwyciężył chorobę. Nigdy nie zapomnę tamtego ranka, kiedy poczuł się na tyle silnym, by móc przyjść do pokoju mamy! Będąc razem oni znów odmłodnieli — była to kochająca dziewczyna i zakochany chłopiec wspólnie wkraczający w życie, a nie złamany przez chorobę staruszek i umierająca stara kobieta, na zawsze żegnający się ze sobą".

Jenny zmarła 2 grudnia 1881 roku. Tego dnia Engels powiedział: *„Maur umarł także..."*

Jak zostało powiedziane wyżej dla Marksa nic co ludzkie nie było obce. Wypływało to zarówno z jego charakteru, jak i z głoszonych przez niego nauk. Z równą pasją odnosił się do tworzonych przez siebie naukowych podstaw komunizmu, jak i do uczuć w ogóle. Dlatego wymagał, aby każde uczucie było silne i głębokie, by mogło udźwignąć istniejące trudności w warunkach każdego konkretnego środowiska. Udźwignąć i nie upaść, nie ugiąć się, nie dopuścić do tragedii tych, u kogo takie uczucie się narodziło. Toteż uważał, że tylko ludzie silni, z samozaparciem, gotowi na wszystko, są zdolni do ponoszenia konsekwencji, jakie przynosi ze sobą miłość. Kiedy jego młodszy przyjaciel i współpracownik Paul Lafarque oświadcza się o rękę jego córki Laury, Marks opierając się na własnych doświadczeniach, tak mu odpisuje:

„Pan wie, że cały swój majątek oddałem na usługi rewolucji. Nie żałuję tego. Odwrotnie. I gdyby przyszło na nowo rozpocząć swoją drogę życia, uczyniłbym to samo. Tylko nie ożeniłbym się. O ile to leży w mojej mocy, pragnę ustrzec moją córkę od tych wszystkich raf, o które rozbiło się życie jej matki".

Tak więc nie z braku miłości, lecz od jej nadmiaru wypływa powyższe gorzkie stwierdzenie. Bowiem mimo tak ogromnych uczuć, nie mogli jednak odseparować się od świata, od jego drobnych łgarstw, zakłamania, obłudy i podłości. Z drugiej strony, gdyby nie Jenny, nie jej uczucie i poświęcenie, kto wie o ile uboższa mogłaby się okazać cała spuścizna po genialnym filozofie i na ile postać Karola Marksa zatraciłaby dziś cechy zwykłego człowieczeństwa.

Opracował: EUGENIUSZ IWANICKI

PRZED KRAJOWĄ KONFERENCJĄ PARTYJNĄ

W POŁOWIE DROGI

Dalszy ciąg ze str 1

ŻYJEMY W EPOCE REWOLUCJI NAUKOWO-TECHNICZNEJ. Epoka ta wymaga od nas odwagi, fantazji, rozmachu i ścisłego wiązania nauki z życiem. Wymaga racjonalnego przegrupowania kadr. Dziś od ludzi, którym powierza się kierownictwo różnych dziedzin życia gospodarczego i społecznego wymaga się już nie tylko wieloletniego doświadczenia, ale również nowoczesnej wiedzy, śmiałości i samodzielności myślenia, a także fantazji. Było kiedyś modne hasło: **„Polska krajem ludzi kształcących się".** Chodziło wtedy o podniesienie poziomu wykształcenia ogólnego. Sądzę, że dziś hasło to nie utraciło swojej aktualności, choć niewątpliwie zmieniło swój sens. W cyklicznie odbywających się rozmowach partyjnych — nowej formie konsultacji — wiele uwagi poświęcono również i temu zagadnieniu. Stałej modernizacji wiedzy każdego z nas. Właśnie w epoce rewolucji naukowo-technicznej jest to postulat niezbędny. A jeszcze wielu ludzi nie potrafi tego zrozumieć. Uważa, że uzyskany przed laty dyplom wyższej uczelni dostatecznie gwarantuje im orientację w tym wszystkim, co współcześnie zachodzi na świecie.

Nie przypadkiem tyle uwagi poświęca się u nas ostatnio ocenie dotychczasowego dorobku nauki i wytyczeniu nowych kierunków działania, które zapewniłyby niezbędny w epoce rewolucji naukowo-technicznej rozwój wszystkich nauk. Nie tak dawno odbył się **Kongres Nauki Polskiej.** W kwietniu tego roku w Komitecie Centralnym PZPR odbyła się **partyjna narada nauk społecznych i humanistycznych.** W tym miesiącu w Warszawie odbyło się międzynarodowe sympozjum poświęcone poszukiwaniom optymalnej formy państwa socjalistycznego. A przecież takich spotkań naukowców różnych dziedzin można naliczyć znacznie więcej.

PARTIA bierze na siebie odpowiedzialność nie tylko za wyczuwanie rytmu epoki, ale również stara się wybiegać w przyszłość, precyzując kierunki perspektywicznego rozwoju, formułując koncepcje, które umożliwiłyby całemu narodowi nie tylko dotrzymania kroku postępowi na świecie, ale też niezbędne wyprzedzanie. Pamiętajmy jednak, ż tu i ówdzie mamy sporo do nadrobienia.

ZNAJDUJEMY SIĘ W POŁOWIE BIEŻĄCEJ PIĘCIOLATKI. Charakterystyczne dla tego okresu jest jednak nie to, że cieszą nas dobre wyniki, jakie do tej pory osiągnęliśmy, a twórczy niepokój budzą perspektywy. Powszechnym pragnieniem jest bowiem nie tylko osiągnąć to, co zaplanowaliśmy na koniec 1975 roku, ale znacznie je przekroczyć. I charakterystyczne jest równie to, że czynimy to nie tylko dla pełnej zgodności zamierzeń z rzeczywistością, czynimy to dla siebie. Podstawowym celem

Dalszy ciąg na str. 4

ŻYCIE W KOLEJCE

Przeczytałam w „Odgłosach" list pana Edwarda Zapały pt. „Życie w kolejce", który obserwując kolejkę w sklepiku małomiasteczkowym, wysnuł z tego faktu szereg refleksji i wniosków. Ja chciałam tylko dorzucić do tego moje własne doświadczenia z kolejki po taksówkę. Wiadomo, że osobie z dzieckiem na ręku przysługuje prawo pierwszeństwa. Zawsze jednak uważałam, że i tu ludzi powinna obowiązywać grzeczność. Wystarczyłoby przecież zwyczajne „przepraszam, czy można?" Nie mówię już nawet o „dziękuję". Ludzie nie protestują nigdy, gdy chodzi o pierwszeństwo osoby z dzieckiem na ręku. Ale bezceremonialne wpychanie się na czoło kolejki, na zasadzie „mnie się to należy" irytuje resztę czekających cierpliwie na swoją kolej. Nie tylko zresztą irytuje. Budzi refleksje o chamstwie. A przecież można by tego chyba uniknąć?

Z. J.
(nazwisko i adres znane redakcji)

KTO MA RACJĘ?

Niedawno w „Polityce" Wojciech Giełżyński napisał, że „Odgłosy" są „drukowane gazetową techniką" oraz, że „celują niezbyt wysoko". Zdziwiła mnie ta cenzurka, bo przecież gazety, jak wiadomo, drukowane są techniką gazetową. A sprawa „celowania"? Czytam „Odgłosy" od 10 lat — raz mi się podobały, raz nie, ale chyba nie można wam zarzucić łatwizny i niskiego poziomu. A może to ja jestem na zbyt niskim poziomie i tego nie dostrzegam? Odpowiedzcie coś, bo mnie „Polityka" wpędziła we frustrację.

ANDRZEJ BANEK

Od redakcji:

Opinia red. Giełżyńskiego jest jego własną opinią — może zresztą czyta „Odgłosy" niezbyt regularnie? Myślimy, że nie warto wpadać we frustrację z tego powodu. Tego rodzaju oceny są zawsze subiektywne.

SKRZYŻOWANIE ŚMIERCI

Prasa niemal codziennie donosi o wypadkach na rogu ulicy Traktorowej i Aleksandrowskiej. Śmiało można to skrzyżowanie nazwać „rogiem śmierci"... Sam niedawno byłem świadkiem przejechania chłopca przez samochód.

W rejonie tego skrzyżowania znajduje się szkoła, przy samym rogu jest przystanek tramwajowy — obecnie buduje się drugą jezdnię. Kiedy ta budowa się zakończy, przejście przez Aleksandrowską stanie się problemem nie do rozwiązania. Ciekaw jestem czy drogowcy i władze komunalne myślą (jeżeli myślą) o rozwiązaniu tego problemu. Najmądrzejszym rozwiązaniem byłoby podziemne przejście. Wiem, że to droga impreza, ale za to byłaby to inwestycja na 20 lat. Za parę lat w rejonie tego skrzyżowania będzie niemal wielkomiejskie centrum osiedla — już dziś warto o tym pomyśleć.

JANUSZ WOLSKI
(Łódź)

CO DLA STUDENTÓW?

Byłem niedawno na spotkaniu towarzyskim, gdzie rozmowa zeszła na sprawy wydawnicze. Mówiono również i o „Odgłosach". Ktoś wysunął nawet pretensje pod Waszym adresem, że zbyt mało piszecie o studentach i dla studentów. Zastanawiałem mi się, że faktycznie problemasię nad tym później i wydaje tyka środowiska studenckiego na Waszych łamach należy do rzadkości. A przecież mamy w Łodzi duże środowisko akademickie, o którym warto pamiętać.

Jestem z tym środowiskiem związany i często spotykam się z opinią, że jest ono w Łodzi niedoceniane i nie zawsze dostrzegane. Choć nie podzielam w pełni takiej opinii, to jednak uważam, że sprawom studentów warto więcej poświęcić uwagi i miejsca.

KAROL SŁOJEK

OD REDAKCJI: O studentach będziemy pamiętać. Wychodzimy z założenia, że problematyki nie można dzielić na młodzieżową i dorosłą. Życie już nie jeden raz pokazało, że studentów interesuje to wszystko, co interesuje wszystkich ludzi w kraju. Będziemy więc dążyli do podejmowania takich spraw, które zainteresują wszystkich.

TROPAMI DAWNYCH LAT

Dalszy ciąg ze str. 1

dium Zarządu, sekretariat i kilka sekcji. Wszystko razem nazywa się Bratnia Pomoc Studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Siedzę za odrapanym biurkiem prezesa BP. Naprzeciwko mnie siedzi zastępca, **Antek Rajkiewicz** (nie ma pomyłki — pan profesor Antoni Rajkiewicz, dziś dyrektor Zespołu Planowania Społecznego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów) — następny prezes BP.

Ten dom został „wykrzyczany". Przydzielił go sam Prezydent Miasta na pierwszy w Łodzi dom akademicki, kiedy zgromadzeni na dziedzińcu Zarządu Miejskiego (dziś RN m. Łodzi — Piotrkowska 104) studenci entuzjastycznie i nieprzerwanie wznosili okrzyki na cześć miejskiej władzy.

Ach, co to był za dom! Dwa piętra z oficynami, niezwykli lokatorzy, niezwykłe wyposażenie (z pianinem na czele od Tymczasowego Zarządu Państwowego na rzecz rozwoju życia kulturalnego studentów).

Miał dom jeszcze starych lokatorów, którzy przeżyli potężny wstrząs, jakim było wprowadzanie się studenckiej braci. Już tego samego dnia załoga — ochotniczo zorganizowana — rozłożyła się obozem na nocleg, układając znużone głowy na gościnnej podłodze zdewastowanych wnętrz. Trzeba wiedzieć, czym był ten dom i kim byli jego lokatorzy. Łódź była czymś w rodzaju wielkiego hotelu w zniszczonym kraju. Do Łodzi ściągali wysiedleńcy, wracali ludzie wywiezieni na roboty przymusowe w głąb Niemiec, z obozów i więzień; do Łodzi przybyli tłumnie bezdomni warszawiacy, repatrianci z terenów wschodnich. Już wówczas problem mieszkaniowy stał się w chaosie wielkiej wędrówki ludów ogromnym kłopotem. A tu powstaje Uniwersytet. Profesorów ulokowano w ciasnych i zapluskwionych pokoikach hotelu na ul. Zachodniej, a co ze studentami, którzy ciągną nieprzerwanym nurtem do miasta?

Są wśród nich repatrianci ze wschodu i zachodu, są zdemobilizowani żołnierze, ewakuowani z Warszawy powstańcy, więźniowie obozów koncentracyjnych. Kto miał tu krewnych, przyjaciół czy znajomych — znajdował jakieś tymczasowe oparcie, ale większość nie miała nikogo, wojna rozbiła ich domy i rodziny. Stanęli przed wielką niewiadomą: gdzie, jak, za co? Część odchodziła, nie znajdując żadnego oparcia, wędrowała dalej, szukając swego miejsca pod niebem. Większość jednak zostawała, a miejsce znajdowała w schroniskach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, schroniskach PCK albo na dworcach kolejowych.

Pomóż sobie sam — to było hasło, które przyświecało narodzinom Komitetu Organizacyjnego Bratniej Pomocy Studentów UŁ. Powołany został przez Komisję Porozumiewawczą Organizacji Młodzieżowych (OM TUR, „Wici", ZWM, Związek Młodzieży Demokratycznej) i rozpoczął swoją działalność w warunkach trudnych do opisania. Nie wiadomo było, od czego zacząć, ale Dom był najpilniejszą sprawą. I pierwszą sprawą po jego zdobyciu było umieszczenie tablicy — symbolu: **„Pierwszy Dom Akademicki Bratniej Pomocy"**.

Dach był dziurawy, instalacje popsute, piece rozebrane. Odbył się tu akt „szabrowania" po żandarmerii niemieckiej. Zostało bardzo dużo śmieci, gazet i książek — jak się okazało rzeczy cennych, bo umiejętnie rozłożone pełniły funkcję legowisk. Ten, który kładł głowę przez wiele miesięcy na leśnym mchu, lub opierał ją na karabinie i zamykał oczy w czujnym śnie — spał na tym legowisku snem susła.

Potem powstała Sekcja Domów Akademickich, dom został drogą najdziwniejszych zabiegów wyremontowany i wyposażony. Urząd Likwidacyjny, który zajmował się m.in. przydziałami mebli, dysponował tylko biurkiem i szafą. Dobre było i to. Biurko otrzymał „Bratniak", lokujący się na parterze wraz z najpoważniejszą sekcją: wydawniczą. Studenci bowiem zajęli się wydawaniem skryptów, które profesorowie pisali na walizkach w swoich hotelowych pokoikach. Dom urządzali wszyscy mieszkańcy. Niełatwe było to urządzanie, zdobywanie łóżek, materaców, kocy, stołów. W pokoikach wznoszono piętrowe konstrukcje „łóżek", ciasnota uniemożliwiała zachowanie ładu i porządku, podstawowe braki nękały brać studencką, ale nauka wchodziła do głowy, a społeczna praca, którą podjęto na wszystkich frontach, przynosiła co dzień nowe efekty. Trzeba było myśleć o nakarmieniu głodnych, o odzieży dla tych, którzy mieli tylko to, co na grzbiecie, o zatrudnieniu studentów...

W czerwcu wywalczono przydział restauracji „Narcyz" przy ul. Piotrkowskiej 48. Właściciel, czy dzierżawca, nie chciał się zgodzić na utratę cennego i dochodowego obiektu. Zaczęło się okupowanie lokalu. W sukurs studentom przyszła Milicja Obywatelska. Na lokalu pojawił się nowy szyld: **„Gęsie pióro"**. W lipcu studenci gościli w nim **prof. Tadeusza Kotarbińskiego** — pierwszego rektora UŁ.

W międzyczasie działy się rzeczy, o których historia nie powinna zapomnieć. Znamionują one bowiem desperacką wprost siłę ówczesnej studenckiej braci, jedność działania, wysiłki niezwykłe i niepowtarzalne. Dla przykładu: studenci zaczęli dostawać powołania do wojska. Byłam wówczas prezesem Koła Medyków — studentów Wydziału Lekarskiego UŁ, których 400 rozpoczęło studia. Iść w szeregi wojska wówczas, kiedy jeszcze stary mundur — jedyny dla wielu strój — uwierał okropnymi wspomnieniami, kiedy głowy paliły się pragnieniem odrobienia wielkich strat, lata próżni w kształceniu się — to był cios. Postanowiliśmy uderzyć wprost do marszałka Żymierskiego. Marszałek przyjął nas z otwartymi ramionami, a nasze pismo, które było adresem hołdowniczym i łkaniem jednocześnie — przeczytał z uwagą. Drżeliśmy podczas tego czytania, a potem zrobiło się nam miękko, kiedy Marszałek stwierdził, że mamy rację. Napisał na naszym memoriale: **„niniejszym zwalniam młodzież akademicką od służby wojskowej"** a nam powiedział: **uczcie się, Polska na was czeka.**

Co się potem działo w RKU! Kiedy przychodziło wezwanie do studenta, „wywołany" meldował się prezesowi Koła Medyków, po czym szliśmy razem do RKU i wyrażaliśmy najwyższe zdziwienie i ubolewanie nad faktem, że rozkaz Marszałka Polski nie jest honorowany. Zaskoczenie było kompletne. Wychodziliśmy jako zwycięzcy.

I uczyli się chłopcy. Uczyli i pracowali. Czego to się w tym „Bratniaku" nie robiło! Kierowniczka Sekcji Pośrednictwa Pracy w sprawozdaniu za okres swej działalności od 1 września do 31 grudnia 1945 r. zanotowała:

„Najpierw zgłosiłam się do miejskiego biura pracy, gdzie potrzebni byli biuraliści. Trzech studentów zostało od razu zatrudnionych. W Zarządzie Nieruchomości Porzuconych i Opuszczonych — 20 osób. W szpitalu Kochanówka — 1 osoba, prywatnie zostały zatrudnione 2 osoby jako maszynistki. W szkole kreślarskiej — 3 osoby. W Izbie Skarbowej — 10 osób."

Pracę brało się „jak szło". Kwalifikacje zdobywało się w trakcie wykonywania czynności, których nikt przedtem nie wykonywał.

Nie tylko uczyli się i pracowali na kawałek chleba. I nie tylko poświęcali czas wolny na pomnażanie dóbr studenckiej społeczności. Pracowali na rzecz miasta i województwa, na rzecz odbudowy stolicy. Sekcja organizacyjna w październikowym sprawozdaniu odnotowała:

„zorganizowano udział delegacji akademickiej w dożynkach (pracowano przy żniwach) uruchomiono na szerszą skalę akcję „Łódź na odbudowę stolicy" przez rozprzedaż znaczków, kwestę w kinoteatrach, udział w akcji zbierania fantów loterii z jednoczesnym sprzedawaniem naklejek. W akcji brało udział około 100 osób.

Paradowaliśmy w czapkach studenckich. Buty były często bez zelówek, stopy owijało się papierem, ale czapka musiała być! W 1 numerze „Dziennika Akademickiego", drukowanego na łamach łódzkiej gazety, był artykuł o czapkach:

„... musimy się niejako wytłumaczyć przed Łodzią z naszej próżności, że oto w gorące dni lata, wśród kurzu fabrycznego miasta, na przekór zdrowemu, zdawałoby się, rozsądkowi, paradujemy w naszych białych czapkach. Chcemy po prostu, by Łódź nas wreszcie poznała, by nas uznała i przyjęła, byśmy się stali Łodzi bliscy, jak ona nam przybyszom ze wszystkich stron Polski".

Dzieci studentów z tamtych lat skończyły już studia. Na posesji nr 17 przy al. Kościuszki widnieje nieprzerwanie ten sam szyld: **I Dom Studenta.** Mieszczą się tam również przychodnie specjalistyczne, o których nie marzyliśmy wówczas, tworząc Sekcję Zdrowia i polecając dr H. Ossowskiemu zorganizowanie opieki nad stanem zdrowia (fatalnym) studentów. Z tej sekcji wyrosła PALMA — ogromna instytucja lecznictwa akademickiego.

Nie ma dziś „Bratniaka". Jest SZSP — potężna organizacja studencka o ogromnym dorobku. 28 lat temu pierwsi studenci zapowiedzieli:

„wierzymy, że niedługo damy się poznać Łodzi z pracy na wielu odcinkach życia społecznego i kulturalnego, że biała czapka stanie się dla mieszkańców Łodzi czymś więcej, niż tylko nakryciem głowy, wyróżniającym młodzież akademicką".

Wszystko spełniono, czapki... zdjęto. A żal...

ZOFIA TARNOWSKA

PRZED KRAJOWĄ

KONFERENCJĄ PARTYJNĄ

W POŁOWIE DROGI

Dalszy ciąg ze str. 3

planu pięcioletniego nie jest bowiem rozwój sam dla siebie, a poprawa warunków życia. Jeszcze jedno hasło znalazło społeczne uznanie: **„Przez ludzi dla ludzi".**

W połowie bieżącej pięciolatki aktyw partyjny spotka się na **Krajowej Konferencji Partyjnej.** Będzie to nowa forma partyjnej konsultacji, ocena dotychczasowej pracy i wskazanie kierunków dalszej. Ktoś nazwał Krajową Konferencję Partyjną — **Małym Zjazdem.** Nie wdając się w dyskusję nad trafnością tego sformułowania, chciałbym jedynie zwrócić uwagę, że ten **Mały Zjazd przygotowywaliśmy przez cały okres dotychczasowej realizacji uchwały VI Zjazdu PZPR, dokonując istotnych zmian w polityce społeczno-gospodarczej.** Pojęcie to, choć nie nowe charakteryzuje się nowymi treściami. Wyraża ono bowiem zgodność polityki gospodarczej ze społecznymi celami.

KRAJOWA KONFERENCJA PARTYJNA stanowi konsekwencję dotychczasowego działania i wynika z niego. Dokonaliśmy bowiem wielu istotnych zmian zarówno w gospodarce, jak i w życiu społecznym. Warto tylko przypomnieć, że poza zmianą społecznej pozycji nauczycieli dokonaliśmy zasadniczych **przeobrażeń w szkolnictwie,** choć znajdujemy się dopiero na początku tych przemian. **Społeczną opieką służby zdrowia objęliśmy całą ludność**, zarówno w miastach jak i na wsi. Był to krok od dawna zamierzony, ale trzeba było dopiero wielkiej odwagi i wyobraźni społecznej, aby można było go dokonać. Trzeba było bowiem zbilansować w wyobraźni koszty tej operacji ze społecznymi korzyściami. I wbrew opiniom wielu krytyków, którzy przepowiadali kryzys naszej służby zdrowia, zwiększone zadania — jak to pisała niedawno „Trybuna Ludu" — podziałały na nią mobilizująco.

Rozpoczęliśmy **porządkowanie świadczeń dla ludzi pracy,** wprowadzając dłuższe urlopy macierzyńskie, bezpłatne urlopy na wychowanie niemowląt, dłuższe zwolnienia lekarskie dla opieki nad chorymi dziećmi. Dla wielu grup społecznych i zawodowych uporządkowano płace. Dokonaliśmy istotnych zmian w warunkach socjalnych ludzi pracy, tworząc jednolity fundusz socjalny, dokonując rewindykacji pomieszczeń socjalnych, które bezprawnie pozamieniano na pomieszczenia produkcyjne i magazyny.

Wymieniając najważniejsze poczynania w dotychczasowej polityce społecznej nie można zapomnieć o **VII Plenum KC PZPR,** które sformułowało dla partii, rządu i narodu kierunki w realizacji jednolitego programu wychowywania młodego pokolenia. Uchwała VII Plenum KC PZPR ma jednak znacznie szersze znaczenie i szerszy zasięg. Stanowi ona **podstawę w kształtowaniu postaw całego społeczeństwa, w przeobrażaniu jego świadomości, w budowaniu społeczeństwa socjalistycznego.** Nasze wysiłki w dążeniu do ładu i gospodarności są tylko jednym z kierunków w tym ogromnym i wielowarstwowym działaniu.

NASZYM CELEM JEST ZBUDOWANIE SOCJALIZMU WE WSZYSTKICH DZIEDZINACH ŻYCIA. Dopóki cel ten nie będzie osiągnięty, państwo socjalistyczne realizuje zadania dyktatury proletariatu. W trakcie realizacji tego celu zmieniają się warunki społeczne i polityczne i forma państwa socjalistycznego musi stale zmieniać się w zależności od tych warunków, w zależności od rozwoju świadomości społeczeństwa. VI Zjazd PZPR postawił przed praktykami i teoretykami zadanie stałego doskonalenia form państwa socjalistycznego, zgodnie ze zmieniającymi się warunkami. Wprowadzanie **samorządu mieszkańców** stanowi przykład spełniania tego zadania, jest formą rozszerzania demokracji socjalistycznej, zwiększania odpowiedzialności nas wszystkich za nasze sprawy.

KRAJOWA KONFERENCJA PARTYJNA podsumuje dotychczasowe dokonania i wytyczy dalsze kierunki działania, abyśmy mogli utrzymać dotychczasowe tempo życia gospodarczego i społecznego, abyśmy mogli dalej racjonalnie nabierać przyspieszenia. W połowie drogi do końca tej pięciolatki potrzebna jest nam świadomość tego, co zrobiliśmy, jak zrobiliśmy i co jeszcze mamy robić, aby nie tylko osiągnąć zamierzone cele, ale przede wszystkim radykalnie poprawić warunki naszego życia.

Potrzeba nam jednak również świadomości, że osiągnięcie tych celów **będzie zależało od naszej wiedzy politycznej i społecznej wyobraźni i od naszego osobistego zaangażowania w sprawy kraju.** I tu chciałbym przytoczyć fragment wypowiedzi sekretarza KC — **Franciszka Szlachcica** z jego przemówienia wygłoszonego na partyjnej naradzie nauk społecznych i humanistycznych.

„Naszej koncepcji rozwoju naszej polityki nie możemy kształtować pragmatycznie, metodą kolejnych prób i błędów. Taka droga jest kosztowna i długa. Chcemy unikać błędów i stać nas na to. Nauka może być w tym względzie wielce pomocna...

Chodzi o to, aby na wszystkich szczeblach od zakładu pracy, powiatu i województwa, a do centrali, nauki społeczne uczestniczyły aktywnie w kreowaniu nowych wartości w naszym kraju".

Postulat jedności nauki i praktyki jest jedną z podstawowych zasad marksizmu. Ale z tego też postulatu wynikają pewne pragmatyczne wskazania dla naszej polityki kadrowej, realizowanej w okresie, kiedy kraj nabiera przyspieszenia, kiedy wchodzi w epokę rewolucji naukowo-technicznej. Dlatego właśnie niniejsze rozważania zacząłem od historyjki o dwu kierowcach, jaka mi się przypomniała w czasie niedawnej jazdy autobusem MPK po ulicy Piotrkowskiej. Nim doszliśmy do połowy bieżącej pięciolatki partia określiła na IX Plenum KC PZPR zadania w dziedzinie polityki kadrami. Jest to też jeden z elementów, jaki będzie się liczył na Krajowej Konferencji Partyjnej i dalej — w realizacji jej postanowień.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

OKUPACJA

Ta książka dla wszystkich była zaskoczeniem. Popularny „Sołtys Kierdziołek", czyli Jerzy Ofierski wydał powieść „Nie było słońca tej wiosny". Poprzednio wydawał — owszem — ale zbiorki monologów Kierdziołka z „Podwieczorku przy mikrofonie".

Zaskoczenie było kompletne i właściwie powieść Ofierskiego przeszła niezauważona przez oficjalną krytykę. Jakoś głupio widać było brać na warsztat książkę Kierdziołka z Chłapkowic.

A przecież jest to w istocie zaskakujący debiut powieściowy. To pełna realizmu i dramatycznego napięcia opowieść z dziejów polskiej wsi w czasie okupacji. Jest i wątek miłosny i przygodowy wątek partyzancki, jest znakomicie odmalowane tło i koloryt środowiska wiejskiego z całą barwnością obyczajów, różnorodnością typów i charakterów...

„Znamy to, znamy..." — zawołają ci, którzy czytali panoramiczną powieść Łukasiewicza „Okupacja". Otóż nie! Jerzy Ofierski pisze istotnie o tych samych sprawach, ale pisze inaczej. Nie jest to więc rozległa epicka opowieść, podobna „Okupacji". Autor nieoczekiwanie zaprezentował w tej książce zupełnie nowe możliwości pisarskie, napisał powieść zwartą, językiem ekspresywnym, lecz niezwykle oszczędnym... Słowem jest to niby „Okupacja", ale bogatsza o doświadczenia współczesnej prozy. Napisał tę książkę nie monologista z „Podwieczorku przy mikrofonie", ale świadomy, dojrzały pisarz. Warto ją przeczytać.

Jerzy Ofierski „Nie było słońca tej wiosny", Czytelnik, cena 11 zł.

JEWTUSZENKO

Eugeniusz Jewtuszenko jest poetą, który bije popularnością swych literackich rówieśników. Jawtuszenko — poetycki felietonista, autor głośnych wierszy „na czasie", trafiający bezbłędnie w ton wydarzeń, podejmujący literackie polemiki w sprawach aktualnych — słowem poeta współczesny w całym tego słowa znaczeniu.

Poezja Jewtuszenki jest właściwie kroniką wydarzeń. Mniej tu poetyckiej refleksji — więcej faktów. Zarzucano mu więc niejednokrotnie opisywactwo — pewno i słusznie, ale ze strof tego poety można ułożyć chronologię spraw animujących radzieckich ludzi w latach ostatnich. Jest to więc na pewno poeta interesujący, choć nie dorównuje głębią i poetycką precyzją swemu rówieśnikowi Andrzejowi Wozniesieńskiemu.

Wydany przez „Iskry" poemat Jewtuszenki nosi tytuł „Uniwersytet Kazański" i także jest swego rodzaju kroniką rewolucyjnych ruchów w dalekim Kazaniu, wśród młodzieży uniwersyteckiej w końcu XIX wieku. A więc historia, a więc rewolucja — sprawy tragiczne i piękne, pełne patosu lecz także ciepła „prywatności"... Trudno to określić inaczej kiedy współczesny poeta radziecki — po raz pierwszy chyba — pisze o młodziutkim Leninie per Włodek (Wołodżka) Uljanow... Jewtuszenko chce po prostu na tamtych chłopców buntujących się przeciwko carowi — spojrzeć nie z koturnu dziesiątków lat, ale jakoś z bliska. Myślę, że tłumaczowi Witoldowi Dąbrowskiemu udało się ów klimat patosu i „prywatności" oddać.

„Uniwersytet Kazański" jest poematem — ale jest to po prostu książka do czytania. I dzięki tłumaczowi, że zaopatrzył ją w obszerną notę wyjaśniającą fakty i nazwiska z historii tamtych lat, bez których lektura poematu mogłaby być nieczytelna.

Eugeniusz Jewtuszenko „Uniwersytet Kazański". Przełożył Witold Dąbrowski. Wyd. „Iskry", cena 15 zł.

FRANCUZI I FRANCUZKI

Głos Jana Zakrzewskiego przez siedem lat słyszeli słuchacze Polskiego Radia. Kończył nieodmiennie: „Z Paryża mówił Jan Zakrzewski". Kiedy wrócił, napisał książkę „Francuzi i Francuzki". Oczywiście nie jest to studium socjologiczne, zamykające w ścisłe formuły „osobowość" tego wielkiego narodu. Jest to po prostu ciekawie napisany reportaż o życiu Francji — jej kłopotach i obyczajach...

„Chodziłem wśród ludzi — pisze autor — z ludźmi rozmawiałem, kupowałem we francuskich sklepach oliwę, chleb (...). Z Francuzami spędzałem ich wzniosłe chwile i momenty niskiego lotu, obserwowałem jak reagują, jak komentują, co przeżywają".

Myślę, że te słowa starczą za prezentację książki. Jest to relacja subiektywna, bo przecież — jak zauważa Zakrzewski — ktoś inny, mieszkający w innej dzielnicy, na innym piętrze, obracający się wśród innych ludzi mógłby mieć zapewne inne odczucia, wrażenia i obserwacje. Ta Francja, czy raczej ten Paryż — jest Paryżem Zakrzewskiego i to bardzo dobrze, bo najciekawsze są właśnie takie osobiste relacje.

Oczywiście obraz Francji wyłaniający się z tej książki na pewno rozbija nieco nasze potoczne wyobrażenia o tym kraju. Obraz jest, być może przekorny — a być może po prostu prawdziwy. Nie wiadomo. W każdym razie warto zawierzyć Zakrzewskiemu.

Jan Zakrzewski „Francuzi i Francuzki" Książka i Wiedza, cena 25 zł.

BYLI CHŁOPCY...

O zbójnictwie karpackim prawie każdy słyszał. Nazwisko Janosika wyzwala u nas obrazy dobrego zbójnika łupiącego bogatych — nagradzającego biednych. Książka „Byli chłopcy, byli..." jest jednym z nielicznych w piśmiennictwie polskim ujęciem monograficznym tematu zbójnictwa.

Nie jest to wszakże żadna przygodowa „story", lecz solidna, udokumentowana praca naukowa. Poddając w rozległych ramach czasu — od XVII wieku aż do lat międzywojennych — bacznej uwadze badawczej rzeczywistość wsi podkarpackiej i jej odbicie w literaturze i folklorze — przynosi niezwykle bogaty plon spostrzeżeń na temat przyczyn, rozwoju i wreszcie zaniku zbójeckiego procederu. Zarówno w Karpatach Wschodnich jak i w Tatrach, Beskidach i na Śląsku Cieszyńskim.

Zdzisław Piasecki zamknął więc w swej książce trzy wieki zbójnictwa na całej południowej granicy Polski. Daje też Piasecki szczegółowy przegląd motywów twórczości ludowej i literatury pięknej o tematyce zbójnickiej. Stara się również wyświetlić przyczyny, które doprowadziły, zwłaszcza w romantyzmie i modernizmie — do zawrotnej kariery motywów zbójnickich w polskim piśmiennictwie.

Książkę Piaseckiego śmiało więc nazwać można „Encyklopedią zbójnictwa". Fakt, że podstawą tej publikacji jest praca doktorska autora wcale nie przekreśla jej czytelniczych walorów. Jest to bowiem pięknie napisana opowieść o tym, jacy byli chłopcy w górach...

J. WIL.

Zdzisław Piasecki „Byli chłopcy, byli..." Wyd. Literackie, cena 40 zł.

Aczkolwiek „nowe" zakorzeniło się w nas już na dobre, to jednak nawyki „starego" ciągle jeszcze dają znać o sobie. W perłową zmierzchu godzinę wyrywają się nam niekiedy przypominające szloch westchnienia, a tęsknica tylko na pewien czas zagłusza w nas ukradkowa lektura „Trędowatej" lub też refleksje na temat, co by było gdyby wdowa po prezydencie nie zakochała się bez pamięci w panu Onassisie, a na przykład w nas. Skłonni jesteśmy nawet przypuszczać, że musiałoby to niechybnie nastąpić, gdyby nam dano choć maleńką szansę — wierzymy bowiem niezłomnie w uczucia — jak błyskawica raptowne i czyste oraz w legendy typu „z chłopa król" czy „z referenta — milioner". Tęsknoty za światem wielkim, pełnym brylantów i diamentów wciąż jeszcze mają prawo obywatelstwa w świadomości nie tylko nastolatków. I nie ma dlań tamy ani zapory — w tym sensie, że ich nijak nie można zatrzymać, albowiem nie dajemy im ujścia.

WŁAŚNIE TO, CZEGO NAM BRAKUJE

Podczas gdy przodkowie nasi mogli sobie przeczytać wiadomość o tym, że „Onegdaj pani Z., małżonka radcy tytularnego urodziła zdrowego i na zucha wyglądającego chłopca" o tym, że „na bal dobroczynny przybyli i dodali mu blasku książę R. i hrabia P." — my oszukujemy się namiastkami. Słyszę oto z głośnika radiowego wiadomości, że we Włoszech ukradziono milion sztuk jaj, że na jednej z autostrad wiodących do Londynu na długie godziny wstrzymano ruch z powodu byczka, który się udał na spacer do stolicy — słucham więc tego i zastanawiam się, na czyj młyn jest ta woda?

Po pierwsze — wszystko to i tak dzieje się na Zachodzie, czyli w Wielkim Świecie, po wtóre zaś — czyż wiadomostki te nie są zwykłym ordynarnym erzatzem? Czas już najwyższy powiedzieć sobie prawdę w oczy, uzmysłowić sobie to, czego nam brakuje: kroniki życia towarzyskiego. Bez przekonania, że możemy się kiedyś w niej znaleźć — wymienieni czy to z pełnymi tytułami, czy to tylko z inicjałów — utoniemy w codzienności, a w najlepszym razie w chlaniu gorzały po knajpach i jednostajnym erotyźmie.

Proponuję to wyjście ze społecznego, głębokiego impasu z pełną świadomością, nie zapominając wszakże o wypełnianiu staroświeckiej, klasycznej formy demokratycznymi treściami. Felieton niniejszy chce być nie tyle rodzajem propozycji formalnej, ile raczej próbą przebicia ślepego zaułka, w który sam się wpędziliśmy. Będzie to więc nie wzór, a pewnego rodzaju połączenie życiowych doświadczeń z refleksjami ogólniejszej natury. Tuszę, że padnie on na grunt podatny — jak biała lilia na świeżą mogiłę — powakacyjna uwaga publiczności jest bowiem szczególnie chłonna.

Rytm naszego życia wakacyjnego nie od dziś regulowany jest przez Polskie Koleje Państwowe. Instytucja ta i jej władze imponują mi poza wszystkim również żelaznymi nerwami. I jakkolwiek nie mieszczą się w moim modelu kroniki towarzyskiej, który to model chciałbym napełnić demokratycznymi treściami z tej racji, że w stosunku do wszelkich głosów krytycznych zachowują wielkopańskie milczenie — warto kilka słów o nich powiedzieć. Do wszystkich poprzednich doświadczeń, które wyniosłem z kontaktów z PKP doszły następne. Na przykładzie ostatniego lata stało się dla mnie prawidłowością to, co tylko podejrzewałem. Otóż kolej nasza z żelazną konsekwencją stosuje się do kilku zasad:

a. nie zajmowanie się drobiazgami: straszliwymi warunkami w jakich podróżują pasażerowie i przerażającym brudem; można by powiedzieć, że jeśli jest jakaś materia nieożywiona, która porusza się samoistnie — to są to niektóre nasze pociągi;

b. coraz wolniejszego kursowania pociągów, co łatwo udowodnić na wielu przykładach;

c. ogólnych spóźnień pociągów, co jest regułą generalną, a jej nieprzestrzeganie wywołuje już w społeczeństwie powszechne zdumienie.

Wakacyjne podróże wzbogaciły mnie w spostrzeżenie, które radziłbym ludzkości dobrze zakontować, bo jest to jedno z odkryć fundamentalnych.

Chodzi o to, że zawsze wydawało mi się, iż bałagan powstaje sam z siebie, w sposób żywiołowy i niekontrolowany przez rozum.

I oto przekonałem się, że to nieprawda. A jest tak: na stację lokalną spóźnia się pociąg pośpieszny. Wtedy czeka nań pociąg osobowy. A na ten z kolei — czeka na innej stacji pociąg osobowy — dalekobieżny. Obserwowałem ten logicznie konstruowany bałagan tylko na przykładzie trzech pociągów — myślę, że przy ich zwiększonej ilości i dalszych spóźnieniach osiągane są rezultaty szczególnie imponujące. I chyba bliski już jest dzień, kiedy zamiast mozolnie drukowanych rozkładów jazdy i tablic informacyjnych ukażą się na dworcach napisy odzwierciedlające wiernie naszą kolejową rzeczywistość:

„Pociąg przyjdzie, jak będzie jego czas".

O ile jeszcze ktoś, kogo natura nie obdarzyła stalową konstrukcją systemu nerwowego może sobie pozwolić na unikanie kontaktów z PKP, o tyle niemożliwe jest życie człowieka bez zetknięcia się z gastronomią. Temat ten — królujący kiedyś na łamach prasy jest ostatnio poruszany coraz rzadziej. Niesłusznie. Bo aczkolwiek przykłady są ciągle te same i ciągle powoływanie się na nie grozi pewną pozorną monotonią, to jednak nie wykorzystujemy całego podtekstu filozoficznego, który jak pieczarka w każdej potrawie tkwi w polskiej sytuacji gastronomicznej.

A wygląda ona tak, że w całym mieście Łodzi istnieją trzy lokale, w których można naprawdę smacznie zjeść — przy czym tylko jeden należy do tzw. sektora upaństwowionego. W stolicy naszej proporcjonalnie lepiej — takich lokali jest już pięć, tzn. o jeden więcej niż w kilkunastotysięcznym mieście Jędrzejowie dziesięć lat temu. W Węgorzewie, które stanowi — że użyję modnego określenia — jedno z „zagłębi słodkowodnych ryb" oferuje się w smażalni płastugę, halibuta i dorsza, restaurację zaś w ośrodku wypoczynkowym w Sieradzu nad Wartą doprowadzono w ciągu zaledwie roku do takiego dna i upadku, że na jej potrawy z pogardą by patrzyli kryminaliści odsiadujący ciężkie wyroki w pobliskim więzieniu.

W nowym hotelu „Jodłowy dwór", który wzniesiono barbarzyńsko tuż obok Świętokrzyskiego Parku Narodowego je się wyłącznie jajecznię i szynkę, a pije herbatę, bo bufet znajduje się w stanie permanentnego remamentu, to zaś, co podają jako żurek w restauracji uniejowskiego zamku można określić najprecyzyjniej jednym słowem — nieopisane.

Interesujący jest historyczny rzut oka na dzieje sławnego już motelu w Słowiku pod Kielcami. Najpierw był tam ajent — i motelowa restauracja ściągała gości z odległych nawet stron. Potem władzę objęła gastronomia — i przejeżdżający zaczęli Słowika unikać jak zapowietrzonego. Teraz znów wrócono do koncepcji ajencyjnej — i znów wszystko jest dobrze. Podobne losy stały się udziałem jednego z wytworniejszych lokali stolicy, mieszczącego się na Starym Mieście. Zapewne domyślą się wszyscy w czyjej jest ostatnio gestii, jeśli powiem, że tam właśnie kilka dni temu ciężko się zatruł eleganckim Chauetobriandem na grzance mój zagraniczny przyjaciel; tłumaczenie mu, że zatrucie wynikało nie z kolacji, a ze zmiany klimatu przekonało go — jak sądzę — tylko częściowo. Nie chciałem tymi przykładami udowodnić, że w państwowej gastronomii pracują wyłącznie ludzie z daleko posuniętą atrofią zmysłu smaku i powonieniem przetrąconym przy pomocy klonicy. Skłonny raczej jestem sądzić, że są to ludzie, którzy odrzucili precz przyziemny materializm i merkantylizm; jedzenie nie jest i nie może być treścią życia, żyjmy myślami o sprawach wyższych. I to jest słuszne, a nawet jedynie słuszne. Idźmy ku nowemu. Na spisie potraw restauracji „Śródborze" w Uniejowie widnieje dumna adnotacja: „Alkohol podaje się na żądanie klienta" — mógłby ktoś uznać, że jest to stwierdzenie paranoiczne w swej oczywistości. Otóż nie. Jest to zapowiedź nowego, zwiastun tych czasów kiedy wódę będzie się podawało bez względu na to czy gość chce czy nie chce.

Zawsze jestem ufnie spokojny kiedy wiem, że ktoś nade mną czuwa, ktoś steruje moim życiem. Jeśli więc spotkam się ze zjawiskiem, które w sposób jawny przeszkadza i mnie i wszystkim a zjawisko to trwa w swojej monumentalności przez miesiące i lata — wiem po prostu, że tak trzeba, że tak musi być. Bo są siły, które rządzą tym w imię wyższych racji. Tyle, że my ich nie dostrzegamy. Więc zgódźmy się ze stanem rzeczy — protesty i tak nie pomagają. Twórzmy kroniki życia towarzyskiego. Na przykład „Onegdaj pan mgr S. odbył podróż na trasie Bedoń-Żakowice. Magister twierdzi, że podziwianie w tej podróży wschodu i zachodu słońca dostarczyło mu niezapomnianych przeżyć". Lub też „Pani Zofia B. udała się przed dziesięcioma dniami do restauracji „Kaprys Mazowiecki". Mimo zjedzenia pełnego obiadu już po kilku dniach leczenia szpitalnego życiu pani Zofii nie zagraża niebezpieczeństwo".

Może się komuś wydawać, że felieton powyższy jest błahy, naciągany i powtarzający truizmy. Nieprawda, jest to tylko złudzenie. Zaręczam słowem honoru.

MAREK WAWRZKIEWICZ

PECHOWY „LAJKONIK"

W języku urzędowym należałoby to sformułować tak: rozwój bazy dla łódzkiej gastronomii postępuje powoli acz nieustannie. Mówiąc prościej — jak poinformowała nas codzienna prasa — pod koniec roku otrzymamy nowy lokal gastronomiczny, w którym mieścić się będzie restauracja i kawiarnia, a który będzie nazywał się „Lajkonik". Lokal ten i jego działalność będą stanowiły wynik zacieśniającej się współpracy krakowskiej i łódzkiej gastronomii. Znając restauracje Krakowa można sobie po tej współpracy wiele obiecywać. Jak będzie naprawdę? — zobaczymy.

Nie chcę być od początku pesymistą i twierdzić, że z „tej mąki nie będzie chleba". Uczyć się trzeba całe życie, niech więc nasza gastronomia uczy się od innych, którzy to robią lepiej, ale i niech też własnym rusza konceptem, abyśmy nie byli najgorsi w kraju nie tylko pod względem ilości miejsc przypadających na tysiąc mieszkańców.

Coś mi się jednak zdaje, że „Lajkonik" przychodzi na świat pod nieszczęśliwą gwiazdą i pech zaczyna go prześladować od samego początku. Dowiedziałem się bowiem, że budowlani doszli do wniosku, iż istnieje możliwość wcześniejszego przekazania gastronomii „Lajkonika". Jak pomyśleli, tak i zrobili. Powołano więc komisję upoważnioną do odbioru i pokazano jej zupełnie jeszcze nie wykończony lokal. Dobre? Zależy, jak dla kogo. Dla komisji było to takie sobie. Ale pomysł sam w sobie — znakomity. Lepiej go jednak nie upowszechniać. Humor w narodzie ginie i ludzie nie zawsze poznają się na żartach.

„Lajkonikowi" mimo wszystko życzę dużo pomyślności. I bardzo proszę Wysoką Łódzką Gastronomię, aby przynajmniej tym razem nie upowszechniała starych pomysłów choćby tylko z „Halki" czy „Pesztu", gdzie na otwarcie lokalu przygotowano „bombowy" zestaw potraw, a później wszystko wróciło do poziomu kotleta schabowego i steku z pieczarkami. Jak już ma być „specjalizacja na region krakowski", to niech będzie przez cały czas. I niech się wyraża w pomysłowości szefa kuchni, a nie tylko w tym, że kelnerzy będą chodzili w czapkach z pawimi piórami.

MARCIN RODAK

NAD RANEM, W 1105 DNIU...

Przed pałacem La Moneda czołgi pojawiły się o godz. 9, ale już o siódmej armia wypowiedziała posłuszeństwo rządowi dr Salvadore Allende. Działo się to 11 września br., w 1105 dniu jego burzliwej prezydentury.

Dalszy przebieg wydarzeń nie sposób ustalić w szczegółach. Wiadomo jednak, że o godz. 10 junta wojskowa pod dowództwem generała piechoty **Augusto Pinochet Ugarte** zażądała dymisji prezydenta i gabinetu **Frontu Jedności Ludowej.**

„Jestem zdecydowany bronić się wszelkimi środkami i poświęcić życie, pozostawiając historii wystawienie świadectwa hańby tym, którzy mają siłę, ale nie mają racji". — brzmiała odpowiedź **Salvadore Allende** nadana przez radiostację pałacową. Było to jego ostatnie oświadczenie oficjalne. Ci, którzy je słyszeli będą mówić potem, iż głos prezydenta nie zdradzał podenerwowania, był klarowny i stanowczy.

Opór gwardii pałacowej trwał do 14.30 i do tego stopnia rozjuszył zamachowców, że zdecydowali się obrzucić La Moneda bombami, a jego ruiny podpalić. Ciało prezydenta wyniesiono z nich dopiero o godz. 18. Podobno do ostatniej chwili trzymał broń w ręku...

Jedni świadkowie twierdzą, że dr Allende popełnił samobójstwo, inni że został zastrzelony 17 pociskami z pistoletu maszynowego. Bez względu na to, która wersja jest prawdziwa, każda czyni z niego bohatera. I myślę, że również w znaczeniu południowoamerykańskim, gdzie słowo to było do tej pory kojarzone z Simonem Bolivarem — wyzwolicielem kontynentu spod hiszpańskiego kolonializmu.

Dr Salvadore Allende widziałem dwukrotnie, w pierwszych miesiącach po wygraniu przez niego wyborów prezydenckich. Zresztą nie trudno było go wówczas spotkać na ulicach Santiago. Mieszkał w niewielkim domku na jednym ze wzgórz, z żoną i dwiema córkami. Domek ten podobno kupił jeszcze jako młody lekarz. W pałacu La Moneda przebywał rzadko — między jedną a drugą podróżą po kraju. Publikowane w tamtych dniach w lewicowej prasie fotoreportaże przedstawiały Allende wędrującego na koniu, a ubranego w poncho i spłaszczony kapelusz o olbrzymim rondzie. Był to bowiem w Chile czas reformy rolnej, a strój huasco — tamtejszych chłopów — stał się symbolem nadchodzących przemian.

Nowo wybrany prezydent nie był typowym latynoskim politykiem. Gwiazdorstwo, nadmiernie rozbudowana gestykulacja, płomienne mowy były dla niego czymś obcym.

„Mówmy spokojnie, albo w ogóle nie mówmy lecz czyńmy coś, aby nasze miasta nie straszyły z pobliskich wzgórz sklecone z gałęzi i trawy dzielnice biedoty, aby każde nasze dziecko mogło codziennie wypić szklankę mleka, chłop uprawiał własną ziemię, górnicy dla siebie wydobywali miedź" — wyjaśniał monotonnym głosem, lecz prości ludzie słuchali go jak zahipnotyzowani, gdyż mówił to na co od dawna czekali i co chcieli wreszcie usłyszeć.

Na publicznej konferencji, która odbywała się w Santiago, na skwerze w pobliżu szesnastowiecznej katedry, byłem świadkiem, jak prezydent Allende omawiał zasady reformy rolnej. Było to akurat po zaburzeniach wywołanych przez ugrupowania lewackie, które domagały się drastycznych posunięć, a popierał je ówczesny minister rolnictwa Chonchol.

— Nieważne, czy będziemy reformy wprowadzać w tempie 2 km na godzinę, czy szybciej. Ważne jest, żeby je konsekwentnie realizować — tłumaczył zebranym. Jednocześnie zapewniał, że osobiście będzie czuwał nad zgodnym z prawem przeprowadzaniem reform. Mówił, iż ustawa nr 16640 o reformie rolnej będzie całkowicie wykonana. Ale musi się to dziać tak, żeby nikt nie został skrzywdzony. Rozparcelujemy 5 mln ha ziemi, w tym wszystkie gospodarstwa powyżej 80 ha bascicas, czyli gruntów nawodnionych...

Kiedy dziś odtwarzam z notatek powyższą wypowiedź prezydenta jest wiadomo dlaczego kładł on nacisk na konsekwentne działanie, a w mniejszym stopniu na szybkość. Już bowiem wtedy obawiał się, że gwałtowne reformy sprowokują reakcję, obcy kapitał i wojsko do wystąpień zbrojnych. Poza tym Allende musiał liczyć się z sytuacją w parlamencie, gdzie prawica miała większość głosów i w każdej chwili mogła nie dopuścić do uchwalenia kolejnych ustaw.

A przecież przed rządem lewicy chilijskiej stawał najważniejszy problem do rozwiązania — nacjonalizacja bogactw naturalnych, głównie kopalń miedzi. Jest ona największym bogactwem tego kraju — wydobywa się tu ponad 15 proc. całej produkcji światowej i 85 proc. wpływów dewizowych Chile pochodzi z jej eksportu. Każda więc obniżka cen miedzi na rynkach światowych postawiłaby ojczyznę Allende na samym dnie głębiokiego kryzysu ekonomicznego.

W rzeczywistości proces zmian następował jednak szybko. Kto widział nędzę i poniżenie mieszkańców przedmieść portowego Valparaiso, fabrycznego Concepcion i stołecznego Santiago, mikroskopijne poletka wielodzietnych chłopów zamieszkujących podnóża Andów, ten łatwo zrozumie, że Allende i i Front Jedności Ludowej nie mogli zwlekać jeżeli pragnęli być reprezentantami większości narodu.

11 lipca 1971 r. prezydent proklamuje więc Dniem Godności Narodowej i ogłasza dekret o nacjonalizacji bogactw naturalnych od Pusytni Atacama aż do Ziemi Ognistej. Jest to pas ziemi o długości 4 tys. km, przebiegający przez osiem stref klimatycznych, zamieszkały przez ludzi, dla których niejednokrotnie tylko język hiszpański jest elementem spójnym.

Dla Chilijczyka z północy na przykład jesień znaczy tyle co nic. Po prostu jesień w klimacie tropikalnym i najsuchszym miejscu na naszym globie jest pojęciem czysto umownym. Są tam osiedla, w okolicach Ariki, gdzie deszcz nie spadł od kilkudziesięciu lat. Nawet starzy ludzie uważają, iż jest on wymysłem bajkopisarzy. Na południu zaś rzeki jesienią gwałtownie pęcznieją i w kościołach odprawiane są modły o powstrzymanie ulew oraz huraganów. W niektórych wsiach panuje nawet zwyczaj stawiania kaplic panu bogu za wysłuchanie próśb o suszę. W osadzie Carampan-gue widziałem jak chłopi zamiast — korzystając z odrobiny słońca — kosić trawę rzucili się stawiać kolejną kaplicę. Słoneczna pogoda jesienią była dla nich czymś tak nadzwyczajnym, że stracili głowę...

Ogromne różnice klimatyczne sprawiły, że Chilijczycy — w zależności od geograficznej szerokości — pojmują różnie obiektywne i zdawałoby się oczywiste zjawiska, reprezentują inne pragnienia, a nawet inną kulturę i cywilizację. Dla mieszkańców rejonów Antofagasty i Ariki reforma rolna nie miała większego znaczenia. Leżą tu ogromne połacie ziemi przez nikogo nie uprawianej, gdyż jest ona jałowa i nienawodniona. Wszyscy żyją tu z pracy w kopalniach miedzi i saletry. Swoją przyszłość widzieli w nacjonalizacji górnictwa. Tymczasem na południu marzy się o kawałku gruntu. Reforma rolna jest szekspirowskim być albo nie być.

Jednocześnie na wsi chilijskiej język hiszpański zachował się w swej najczystszej postaci, choć niejednokrotnie posługują się nim Metysi, natomiast w większych miastach żyje najwyższy w Ameryce Płd procent ludzi najczystszej rasy iberyjskiej, ale cywilizacja ma charakter anglosaski. Anglicy bowiem — pod koniec ubiegłego wieku — pomogli Chilijczykom wygrać „Wojnę na Pacyfiku" z Peru oraz Boliwią i wciągnęli młode państwo w sferę swoich wpływów. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu powszechnie snobowano się tutaj na Brytyjczyków. Szczególnie modne były angielskie nazwiska. Można więc i dziś dość często natknąć się na kruczowłosego Hiszpana o nazwisku Ian Taylor (agent Polskich Linii Oceanicznych) lub John Smith (urzędnik bankowy).

W latach trzydziestych naszego stulecia w Chile rozgościli się na dobre Amerykanie. Ściągnęła ich tu miedź, saletra i srebro. Kiedy dr Salvadore Allende i Front Jedności Ludowej wygrywali wybory prezydenckie, amerykańskie koncerny Kennecott Corporation, Anaconda oraz ITT czuły się w Chile lepiej niż u siebie w domu, a ich roczny budżet był znacznie większy niż średniozamożnego państwa. Każdy większy gmach, każde liczące się przedsiębiorstwo, a przede wszystkim kopalnie miedzi, łączność, transport i banki pozostawały pod ich przemożnym wpływem. W pałacu La Moneda nie podejmowano ważniejszych decyzji bez konsultacji lub zgody tych potentatów. Ich siedziby rozsiadły się w Santiago wokół Placu Konstytucji i Calle Bandera, z wyglądu upodobniły to miasto do Nowego Jorku i Chicago, a swym cieniem całkowicie przykrywały niepozorną, trzypiętrową siedzibę prezydenta.

— Gdyby w Chile zatrzymać pieniądze, które co roku wywożą od nas Amerykanie, dzieci nasze kąpałyby się w mleku. Tymczasem 85 na tysiąc umiera z głodu — powiedział w jednym ze swych pierwszych przemówień prezydenckich dr Salvadore Allende. I po słowach tych nastąpiły decyzje...

Pozbawione możliwości grabieży chilijskich bogactw naturalnych amerykańskie koncerny przechodzą do kontrataku. Najpierw ITT (telefony i łączność) próbuje przy współudziale agentów Centralnej Agencji Wywiadowczej USA (CIA) dokonać zamachu na życie prezydenta. Odbija się to głośnym echem w świecie i doprowadza do kompromitacji właścicieli trustu. Następne antychilijskie działania są jednak skuteczne — Konnecott Corporation doprowadza do obniżki cen miedzi, na rynkach krajów kapitalistycznych, jej aresztu w portach zachodniej Europy, zakazu sprzedawania przez amerykańskie fabryki rządowi Allende części zamiennych do maszyn górniczych. Z koncernami ściśle współpracuje chilijska prawica, która nie może pogodzić się z utratą wielkich latyfundiów — część z nich dorównywała wielkością naszemu województwu. W tym samym czasie największe dzienniki — należące wyłącznie do ugrupowań reakcyjnych — zaczynają szerzyć panikę, wzywają inteligencję i warstwy średnie do spontanicznego opuszczania kraju, sugerują sabotowanie rozporządzeń rządu i dywersję gospodarczą. Sytuację skomplikowały jeszcze klęski żywiołowe, które nawiedziły Chile w ubiegłym roku. Dlatego — aby nie dopuścić do głodu — trzeba było impor-

DZIENNIK

Ciąg dalszy ze str. 1

leśnych i tych z Ligi Ochrony Przyrody niewielu i nie są w stanie upilnować. A turyści-wandale drą się, śmiecą, niszczą co tylko się da — każde drzewko, krzak, kwiat czy trawa to ich wróg osobisty...

T. pokazał mi jak piec ryby w gazecie: owija się rybę w 8—10 warstw gazety, przedtem się ją czyści, soli, pieprzy, smaruje czosnkiem, wkłada plasterki cebuli, można też paprykę albo jabłka i wszystko to moczy się dobrze w wodzie, aby gazety należycie nasiąkły — a potem w ognisko, jak ziemniaki. Po 15 minutach rybka jest pieczono-wędzona, kruchutka, aromatyczna. Smakowitość sama. Nareszcie wiem, jaka jest różnica między „Polityką" a „Kulturą" — w „Kulturze" ryba lepsza. Można by w tym względzie przeprowadzić ciekawe doświadczenia.

Siedzę na kamieniu, palę, patrzę na San co bulgocze, pieni się na skałkach, podskakuje. Czysty, wesoły tylko w soboty i w niedziele niesie na sobie plastikowe torebki, opakowania po olejach samochodowych, papierzyska, kawałki połamanych gałęzi, jakieś nieprawdopodobne świństwa. Eh, jaki ty będziesz Sanie, jak ci tu na około przetrzebią lasy buczynowe, wybudują domy wczasowe, sanatoria, uzdrowiska, asfaltowe dojazdy i objazdy o iluś tam serpentynach? Co będzie z twoją czystą wodą i z ciszą, która cię otacza? Chyba tylko te gwiazdy zostaną na niebie, ale i ich migotanie nie będzie już tak cieszyć.

Sobota

Jarosław. Łóżka w hotelach są, ale nie ma czystej pościeli, bo w pralniach akurat urlopy, więc przerobowość nie ta co w zimie. Słusznie, pracownicy pralni też ludzie i odpoczynek nad morzem na przykład słusznie im się należy. Oby im tam też zabrakło czystych powłoczek!

Znalazłem jakimś cudem pokój w hotelu robotniczym. Do późnej nocy „gra muzyka' i śpiew sznaps-barytonów niesie się szeroko. Nie wszyscy snać lubią grę w ping-ponga, albo zgłębianie strategii wieży i skoczka na czarno-białych polach szachownicy. Przez pół nocy pod drzwiami mojego pokoju chrapał sobie w najlepsze utrudzony do ostatka człowiek pracy.

Centrum Jarosławia zapchane wozami różnych marek. Niemcy, Czesi, Węgrzy, Austriacy, Francuzi... Wieczorem neony. W „Delikatesach" półki uginają się od „Napoleonów" i szampanów — radzieckich, węgierskich i jugosłowiańskich. Na ulicach dziewczyny w mini i w maxi. Ufryzowani młodzieńcy obłapują w pół panienki — panienki piszczą i podkręcają tranzystory. Europa.

Niedziela.

W Zamościu. Wszędzie płoty z desek, wysokie. Całe Stare Miasto w płotach z desek. Brudno i wycieczki. Na każdym rogu lody. Ratusz na Rynku wygląda przy tym wszystkim jak sztuczny, jak z papier-maché. Ponoć centrum Zamościa ma być zabudowane nowocześnie i powiązane ze starą enklawą miasta w sposób organiczny i celowy. O ile, oczywiście, przedtem ta stara enklawa, „perły Renesansu" nie rozpadnie się w proch i w pył.

Po południu wsiadłem w autobus i pojechałem do Zwierzyńca. Akurat resztki odpustu. Stragany z wszelkim barachłem: korale, gwizdki, okulary, marynarze co łażą po sznurku, pukawki i straszaki, broszki, spinki, chustki, lody ciepłe i zimne, wata z cukru na bormaszynie, piwo, wino, wóda; pod każdym krzakiem pijący, podpici lub kompletnie pijani odpustowicze. Trwa festyn ludowy na całego. Z tranzystorów ryczą wozy kolorowe ze światów w zupełnie innym stylu.

Połaziłem po lesie i natrafiłem na stawy. Prawie pusto na piaszczystych plażach. Zapach żywicy i wody. Ale tranzystory i tutaj wyją. Ratownik na plaży drze się przez tubę: — Panowie, którzy płyną w kierunku wyspy, proszę zawrócić! ja nie biorę na siebie odpowiedzialności! proszę zawrócić! Panowie, którzy płyną w kierunku wyspy, płyną spokojnie dalej. Widocznie nie zależy im na tym, aby ktoś tam brał za ich płynięcie jakąkolwiek odpowiedzialność... Na wyspie trwa bankiecik — piwo przytransportowano kajakami. Tranzystory ryczą niezmordowanie.

Późnym wieczorem przejeżdżam przez Tarnogród,

Fragment zniszczonego Biłgoraja

który w 1567 roku otrzymał prawa miejskie, od 1588 był własnością Jana Zamoyskiego, a w ten sierpniowy wieczór obchodzi dożynki. Festyn ludowy jak w Zwierzyńcu, tylko na większą skalę i z innej okazji. Dodatkowo orkiestra dęta i transparenty.

Poniedziałek

Biłgoraj. Miasteczko czyste i niemal całe zbudowane od nowa. Historia była tu bogata. W przewodniku pisze, że z powiatem biłgorajskim trzy ważkie fakty historyczne się łączą. „Za panowania Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego i Władysława Jagiełły wybitną rolę w życiu politycznym i gospodarczym Polski odgrywa podskarbi koronny i marszałek Królestwa, Dymitr z Goraja. Następnie w okresie wojny z zakonem krzyżackim chwalebnie zapisała się w bitwie pod Grunwaldem chorągiew gorajska. Wreszcie w dobie saskiej, w 1717 roku w Tarnogrodzie miała miejsce konfederacja średniej szlachty pod laską marszałka Ledzichowskiego, zawiązana przeciwko królowi Augustowi II i popieranym przez niego Sasom, pustoszącym Polskę."

Są tu też bogate w wydarzenia i w przykłady ludzkiej odwagi tradycje walk narodowo-wyzwoleńczych. W 1830 roku pułkownik Samuel Różycki zorganizował tu oddział kawalerii i służył potem w korpusie generała Dwernickiego idąc z nim na Wołyń. W 1863 miały na tych ziemiach miejsce krwawe potyczki z wojskami carskimi.

Jerzy Markiewicz w swoim

Salvadore Allende

tować żywność za 390 mln dolarów (w roku 1970 wydano na ten cel tylko 112 mln, a 1971 — 180 mln). Spowodowało to prawie całkowite wyczerpanie rezerw dewizowych i hossę „czarnego rynku". Jednocześnie każde próby zażegnania kryzysu spotykały się na forum parlamentu ze sprzeciwem chadeckiej większości.

Allende zaczyna więc rządzić dekretami. Jednym z nich zamraża ceny na artykuły codziennego użytku, drugim zapewnia wszystkim pracującym Chilijczykom minimum środków do utrzymania, czyli po raz pierwszy likwiduje w tym kraju plagę głodu. Riposta prawicy jest natychmiastowa — masowe zwalniania robotników z pracy, zamykanie sklepów i przerzut towarów na „czarny rynek", a plotka i panika zaczynają sięgać najwyższych szczytów Andów.

Doświadczyłem tego na własnej skórze w jednym ze sklepów. Jego właścicielka nim podała mi pudełko „neski" wygłosiła dłuższe przemówienie na temat antychilijskiej polityki dr Allende. Gdy wreszcie skończyła powiedziałem:

— Zieje pani nienawiścią do socjalistów i komunistów, a sprzedaje, widzę, koszulki z podobizną Che Guevary. Przecież on był niemniejszym waszym wrogiem niż Allende...

— No, tak — odpowiedziała — **ale handlować czymś trzeba. Jeżeli teraz jest moda na Guevarę, to dlaczego na nim nie zarobić...**

Słowo „zarobić" w ciągu ubiegłych trzech lat miało w Chile wiele znaczeń. Prawicy kojarzyło się ono z koniecznością usunięcia Allende i socjalistyczno-komunistycznego rządu. 29 czerwca odwołała się o pomoc do wojska, ale dopiero zamach armii z 11 bm. zapewnił jej powrót do władzy. Podobne postępowanie niektórzy przywódcy lewicowi proponowali prezydentowi. Odrzucił:

Jestem prezydentem wybranym przez naród i zgodnie z konstytucją. Zapewne pamiętacie do czego doprowadził naszą ojczyznę pucz wojskowy z 1927 r.

Prasa zachodnia komentując ostatnie wydarzenia w Chile nazwała czołgi ostrzeliwujące pałac La Moneda „żelaznym argumentem" przeciwko rządom dr Allende, gdyż podobno nikt nie był bardziej cierpliwy i wyrozumiały niż chilijska armia.

Szkoda, że zapomniała ona o wypowiedzi członka Izby Reprezentantów, Michaela Harringtona, demokraty z Messachusets:

Pomogliśmy wytworzyć taki chaos w gospodarce i społeczeństwie Chile, że rząd tego państwa stał się łatwym łupem wojska. Miedź jest elastycznym metalem, ale nie na tyle, żeby mógł utrzymać chilijską huśtawkę.

MAREK REGEL

TEATR

„UPIORY"

Zawsze wyobrażałem sobie, że wchodzący do domu wdowy Alwing, są mokrzy od bezustannie padającego deszczu, mają buty i spodnie zabrudzone błotem, przez które przeszli. Zwłaszcza pastor Manders. On też pedantycznie wyciera każdą plamkę, on musi być czysty... Wilgoć wdziera się na ściany tego domu, lampa pali się niemrawo, deszcz pada tak intensywnie, że czasami zagłusza to, co mówią ludzie.

Jak w „Wiśniowym sadzie" i „Czajce" — Czechowa — sad i jezioro, jak w „Weselu" Wyspiańskiego — muzyka, jak w innych sztukach Ibsena morze, góry, tak w „Upiorach" deszcz gra tę przytłaczającą, wszechobecną rolę.

„Matko, daj mi słońce... słońce.., słońce!" — woła (wołę krzyk od mamrotania) umierający Oswald. Niedawno wrócił z wieloletniej podróży po świecie. Tam, jak mówi, jest radość życia, radość pracy, radość tworzenia. Starał się je odmalować w swoich obrazach. Ale tu zawsze pada deszcz, tu, czyli w domu rodzinnym jest ta ponura atmosfera. Dlatego lęka się w nim pozostać. „Lękam się, by to wszystko co się we mnie burzy nie wyrodziło się w rozpustę." Dom rodzinny nie jest więc ową przystanią spokoju, prawdy. Oswald przeczuwa, że tego nigdy w tych ścianach nie było, bo ludzie, którzy tu żyli dobrowolnie zamykają się w labiryncie fałszywych zasad i takiej moralności. Wystarczają im tylko pozory, by dla „świętego spokoju" pozostawać zgodnym z opatrznością czy opinią społeczną. Być wzorem dla otoczenia, choć to często oznacza — tylko na zewnątrz własnego domu. A w nim, gdy kotary zasłonięte i można uciec kuchennymi schodami, można robić wszystko. No, a jeżeli przytrafi się jakieś nieszczęście — to się to jakoś załatwi. Byleby się ludzie nie dowiedzieli. Jak z tym błotem na butach — kilka zgrabnych ruchów i już świecimy przykładem.

Ojciec Oswalda nie zdołał się wyrwać choremu społeczeństwu. Osaczyło go, obłaskawiło, wskazało kotary i kuchenne schody, ale i niedzielne wizyty na mszy. Ułagodzonego uznano za czysty wzór i ideał. Tylko pani Alwing znała prawdę, wiedziała jakim jest rozpustnikiem. Pragnęła uciec do mężczyzny, którego kochała — pastora Mandersa. Ten może nawet odwzajemniał uczucie, ale cóż powiedzieliby na to ludzie? Nakazał powrót do prawowitego męża. Jej burza ucichła — pokornie wróciła. W tym czasie służąca państwa Alwingów spodziewa się dziecka. Pani Alwing wie czyje ono będzie, ale na szczęście udaje się namówić stolarza Engstrand'a (pomogły finanse), by ożenił się ze służącą a dziecku dał swoje nazwisko. Nic się więc nie wydało — papa Alwing pozostał nadal wzorem. Był też takim w listach, jakie matka pisała do Oswalda wysłanego w świat jak najdalej od „rodzinnego ogniska". Z tej podróży właśnie powrócił. Już 10 lat minęło od śmierci ojca. Pieniądze pozostawione przez niego pani Alwing przeznacza na budowę schroniska dla ubogich dzieci — pomnik pamięci jej męża. Na dzień przed otwarciem — schronisko spala się doszczętnie (mimo padającego od dawna deszczu!)

Oswald wałęsa się podobno na zgliszczach, chcąc może „ocalić z nich ogień".

Spłonął pomnik i za chwilę runie mit idealnego człowieka, ojca, symbol „prawego" społeczeństwa. Oswald dowiaduje się (czy też potwierdzają się jego obawy) o chorobie — dziedzictwie rozpustnego ojca. „Grzechy ojców mszczą się na dzieciach". Tak, jak deszcz nie jest tylko realnym deszczem, jak schronisko nie tylko realnym domem, tak owa choroba nie tylko realną chorobą.

„Matko daj mi słońce!" — a gdzie indziej Ibsen powie — „pragnę dosięgnąć wszystkiego możliwego w wielkości i czystości". Jest to przede wszystkim pragnienie tworzenia nowego, głębszego, bardziej wartościowego człowieka z całą jego wzniosłością i promiennością. Ikaryjska prośba wypowiedziana jest do najwspanialszej stworzycielki życia — Matki. I dopiero teraz, na końcu dramatu, w chwili śmierci Oswalda powinno być na scenie coraz jaśniej, oślepiająco jasno. Dopiero w pełnym słońcu znikają upiory przeszłości.

Na scenie Małej Sali Teatru Nowego ustawione są ładne fotele, stolik. W tle jest ładne okno, za którym pada ładny deszcz (kiedy zapali się schronisko okno zmieni kolor z niebieskiego na czerwony). Jest tu w ogóle czysto, ładnie i przyjemnie. Ten salon musi się podobać. Jest nijaki — jak gabinet figur woskowych.

Kiedyś wydarzenia „Upiorów" musiały odbywać się w takiej scenerii. Ludzie, którzy przyszli do teatru, dostrzegali na scenie własne mieszkania. Łatwiej było im znaleźć tam siebie. W naszym wypadku takie salony, to nic innego jak wizyty w muzeum... Czy skrót scenograficzny, uproszczenie nie mają wymowy bardziej dramatycznej niż zagracenie sceny? (oprócz tego, że są dowodem szacunku twórców do wyobraźni widza) A rekwizyty? Np. czy konieczne jest podawanie butelki szampana? Ja wiem, że jeżeli jest lustro na scenie, to trzeba chociaż raz się w nim przejrzeć. Ale jeżeli w tekście jest szampan, to czy na scenie też być musi? Żąda go pani Alwing, by, jak to się mówi, lepiej się jej rozmawiało z synem. Szampan wnosi Regina. Oswald zabiera się do otwierania. Zdziera sreberko, byśmy uwierzyli, że trunek jest autentyczny (tu dyrektorzy konkurencyjnych teatrów przeliczają, ile to będzie kosztować przy setnym przedstawieniu), powoli unosi korek — korek pyka (lekko strzela). Pierwsze rzędy, całe i zdrowe oddychają z ulgą. Gdzieś po drodze zagubiliśmy poważny ton rozmowy. W sumie głupia sprawa, drobne pyknięcie, nastrój pryska, ale szampan jest!

Dzieje Oswalda Alwinga porównuje się często z historią króla Edypa. Antyczne Przeznaczenie zostało zastąpione dziedziczną chorobą (a także wadami społeczeństwa i... deszczem). Winy Lajosa — trybem życia Alwinga seniora. Oswald, jak Edyp, dochodzi dnia swych urodzin, odkręca tę spiralę wydarzeń. Różne są z pewnością tonacje obu tych dramatów. „Edyp" jest pełen patosu, „Upiory" tkwią korzeniami w gruncie realizmu. Podział jest podręcznikowo upraszczający. Już sam tytuł sygnalizuje bowiem pewną symbolikę (ku której Ibsen zawsze był skłonny i którą trzeba podkreślać a nie zamazywać.)

Upiory. Czy są nimi tylko słowa dochodzące z kuchni, gdzie Oswald flirtuje z Reginą, jak kiedyś jego ojciec z jej matką? Czy nie ma czegoś więcej? Upiornych zasad, pojęć, wierzeń, upiornej moralności, obłudy? Czy wreszcie ludzie temu służący nie stają się odczłowieczonymi upiorami?

Łódzkie „Upiory" odbywają się w przytulnej scenerii. Pod skórą słów rozmawiających osób, rzadko pulsują jakieś napięcia. Nic tu z nastroju upiorności. Owszem, są sceny żywe (nie o tempo chodzi, ale o autentyzm) np. ostatnia rozmowa pastora z Engstrandem, końcowy dialog Oswalda z matką, rozpływający się, niestety, w mamrotaniu na wygodnym fotelu, ale stanowią one zdecydowaną mniejszość. Inne giną w słuchowiskowej gadaninie, w ładnym saloniku. W sumie obejrzeć warto i należy. Może nie należy tylko spodziewać się czegoś więcej poza respektowaną święcie w Teatrze Nowym, poprawnością. Ani odrobinę inaczej, ani odrobinę odkrywczo, to jest tak, jak sobie można, znając ten teatr, wyobrazić.

Sztukę reżyserował Andrzej Przybylski. Scenografię opracowała Anna Rachel. Osoby: pani Alwing — Hanna Bedryńska, Oswald Alwing — Andrzej May, pastor Manders — Wojciech Pilarski, stolarz Engstrand — Ludwik Benoit, Regina Engstrand — Ilona Bartosińska. Zapytałem się znajomych, którzy nie oglądali „Upiorów" a znają tekst, kogo z aktorów Teatru Nowego obsadziliby w rolach bohaterów Ibsenowskiego dramatu, tak, by sztukę przygotować przy minimum nakładów (np. czasu). W 90 proc. obsadzili role zgodnie z programem wystawionej sztuki. Sądzę, że dobrze świadczy to o wspaniałych skądinąd aktorach, na których nikt się nie zawiedzie, gorzej o pozostałych twórcach tej sztuki.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

Tak transportowano sita w XIX wieku

szkicu o ziemi biłgorajskiej pisze odnośnie czasów po roku 1939. Wynotowuję kilka interesujących szczegółów: „W połowie września przez powiat biłgorajski, w kierunku na Lwów cofały się dwie armie wojska polskiego. — „Kraków" pod gen. bryg. Antonim Szylingiem i „Lublin" pod gen. dyw. Tadeuszem Piskorą. Obie armie w dniach 17—20 września 1939 roku stoczyły pierwszą bitwę pod Tomaszowem Lubelskim, a w dniach 22——27 września wojska Frontu Północnego, dowodzonego przez gen. bryg. Stefana Dąb-Biernackiego stoczyły drugą bitwę pod Tomaszowem Lubelskim. Również na terenie pow. biłgorajskiego w jego północno-zachodniej części walczyły oddziały WP z grupy operacyjnej pułkownika dypl. Tadeusza Zieleniewskiego. W dniach 13——18 września 1939 roku wzdłuż traktu Krzeszów-Biłgoraj toczyła walki 23 DP pułk. dypl. Władysława Powierza. Do najcięższych bojów doszło w Puszczy Solskiej. W nocy z 15 na 16 września toczył się bój wzdłuż szosy Biłgoraj-Jarosław — z Niemcami walczyła Krakowska Brygada Kawalerii gen. bryg. Zygmunta Piaseckiego. Tegoż samego dnia rozgorzała bitwa o Biłgoraj, broniony przez 11 pp dowodzony przez pułk. dypl. Henryka Gorgonia i 73 pp pod dowództwem pułk. Piotra Sosialuka. W dniach 17——18 września toczyła walki z nieprzyjacielem grupa operacyjna „Sandomierz" pułk. Antoniego Sikorskiego, w rejonie Tereszpol-Zwierzyniec. Dnia 30 września oddziały polskie dowodzone przez pułk. Wacława Płonkę otoczyły we wsi Dzwola niemiecki dywizjon p-pancerny i rozbiły go doszczętnie. Wreszcie 8 października już po kapitulacji, oddział kawalerii grupy „Kowel" dowodzonej przez pułk. Leona Koca w desperackim szturmie zaatakował Biłgoraj."

Rozmawiam z ludźmi. Coraz powracają dzieje Zamojszczyzny, dzieje ziemi i ludzi. Powiat biłgorajski wchodził w skład Zamojszczyzny. Ziemia nasiąkła tu krwią. Historia martyrologii naszego narodu ma tu zapisaną jedną z najtragiczniejszych swoich kart.

Od Zamojszczyzny bowiem rozpoczęli Niemcy realizację Generalnego Planu Wschodniego Reichsführera SS, którego celem było biologiczne wyniszczenie Słowian, a wśród nich w pierwszym rzędzie Polaków. W Zamojszczyźnie zastosowali Niemcy cały wachlarz dostępnych im środków unicestwiania. I właśnie powiat biłgorajski w tej tragicznej statystyce zbrodni, popełnionej przez Niemców wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc w skali kraju.

W czasach okupacji w powiecie biłgorajskim było 165 miejscowości. Niemcy przeprowadzili 65 pacyfikacji, 42 egzekucje masowe, 21 razy zabierali całe grupy zakładników...

Wtorek

W biłgorajskim istniał silny ruch partyzancki: AK, BCh, oraz Gwardia i Armia Ludowa. W 1973 roku tamte czasy, to odległe wspomnienia. Odległe lecz wciąż powracające jak wahadło zegara. Niemal każda rozmowa z tymi, co tu wtedy mieszkali w końcu zahacza o tamte, dawno zdawałoby się minione sprawy i zdarzenia. Padają pseudonimy dowódców: „Słoma", „Sulina", „Kalina", „Orsza", „Sosna", „Tom"...

Walczyły tu również oddziały partyzantki radzieckiej, zgrupowane pod dowództwem ppłk. N. Prokopiuka...

Trzynaście miesięcy od 27 listopada 1942 do 30 grudnia 1943 toczyły się walki nazywane dziś Powstaniem Zamojskim.

Środa

Ciągle w Biłgoraju. Włóczę się po okolicy. Czytam Camusa: „I ofiarowałem moje serce ziemi poważnej i cierpiącej, i w świętej nocy składałem obietnicę, że będę ją kochał wiernie, bez lęku, nie odrzucając nic z ciężaru jej nieszczęść i nie gardząc żadną z jej zagadek. Tak oto związałem się z nią węzłem śmiertelnym". Ilu ludzi tej ziemi mogłoby tak właśnie powiedzieć, bez cienia pychy.

Niemcy, dążąc do oczyszczenia zaplecza frontu wschodniego z oddziałów partyzanckich, przeprowadzili w czerwcu 1944 roku na terenie powiatu dwie operacje wojskowe, określone kryptonimami „Sturmwind I", „Sturmwind II", wydzielając do ich przeprowadzenia 30.000 żołnierzy frontowych i policji. W okrążenie dostało się zgrupowanie powstańców radzieckich płk. Prokopiuka i brygada GL kpt. Borkowskiego. Najcięższy bój partyzanci obu zgrupowań stoczyli na Porytowym Wzgórzu. Przełamali okrążenie i przeszli do Puszczy Solskiej. Operacja „Sturmwind II" objęła wschodnią część biłgorajskiego. W okrążeniach — oddziały AK i BCh pod dowództwem majora Edwarda Markiewicza ps. „Kalina" oraz ponownie zgrupowanie partyzantów radzieckich Prokopiuka i brygada GL Borkowskiego. Oddziały partyzantów wyszły z okrążenia. Największe straty poniosły oddziały AK i BCh majora „Kaliny", które stoczyły krwawą bitwę pod Sopotem...

Czwartek

W każdym większym miasteczku muzeum regionalne. Istny run na te muzea. Dobrze. Zawsze coś się tam uchroni od zapomnienia. Jedni niszczą, inni chronią. Tak było i tak jest. Może przyjdą czasy, że nie będzie się niszczyć...

Biłgorajskie — gleba uboga, za to wkoło lasy. Stąd zapewne rozkwit od wieków zawodów takich jak sitarstwo, łubiarstwo. Najstarszy zachowany dokument w tych sprawach z roku 1720 głosi, iż Konstancja Maria Szczuczyna z Potoka, starościna wąwolnicka i właścicielka Biłgoraja, nadała specjalne przywileje biłgorajskiemu cechowi sitarskiemu, który zresztą istniał już o wiele wcześniej. Biłgorajskie muzeum sitarzy i łubiarzy. Z ciekawością to oglądam, bo nie wiedziałem dotąd jak się sita robi.

Piątek

W Lublinie. Pełno zagranicznych. Sznury samochodów, długowłosych Szwedów i Anglików. Blade to i chude. Dziewczyny przysadziste o beczkowatych nogach. Jednak nasze dziewczyny najładniejsze!!!

Przeglądam szkicownik — pusty. Nic nie rysowałem. Zapiski chaotyczne, ale jednak coś z nich przecież wynika. Ciągle wydaje mi się, że mało znam swoją ziemię. Za mało po niej jeżdżę, chodzę. A czyż można żyć, nie znając swojej ziemi, swego kraju tym bardziej, że zmienia się on z dnia na dzień i że tak wiele odchodzi na zawsze...

ANDRZEJ GRUN

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

PLECAMI DO ŻYCIA

Do Świerczyńskich zachodziłem wieczorami po sąsiedzku. Od lat. Przyzwyczaiłem się do tego jak do palenia papierosów. Więcej, stało się to dla mnie jakby rytuałem. Codziennie po powrocie z fabryki myłem się starannie, zmieniałem koszulę i walczyłem przez parę minut ze swymi niesfornymi włosami, by się jako tako ułożyły. Co drugi dzień goliłem się odziedziczoną po ojcu brzytwą. Może gdyby nie perspektywa wizyty u Świerczyńskich nie dokonywałbym tych zabiegów toaletowych z taką starannością?

Potem siadałem do stołu, pogadałem z matką o tym i o owym, ale myślami byłem już u nich, u Świerczyńskich. Raz po raz spoglądałem na zegarek, którego wskazówki zwalniały wyraźnie o tej porze dnia swój bieg. Nie mogłem przecież narzucać się ludziom przed siódmą. Już w drzwiach wyjściowych słuchałem sakramentalnego matczynego: — A nie zasiedź się zbyt długo! Przecież wstajesz o szóstej. — To także należało do niezmiennego rytuału i dawało miłe poczucie przekraczania granic tej zwykłej codzienności, na którą składa się praca, jedzenie i spanie. Od progu Świerczyńskich wstępowałem w inny wymiar, sam jakby zmieniając skórę.

Wchodziło się przez długą i ciemną sionkę, raczej korytarzyk, który spełniał także rolę składziku różnych zbędnych sprzętów i rupieci. Jak mi dopisało szczęście, to spotykałem się w sionce z moją rówieśnicą Steńką. Zderzaliśmy się ze sobą niby to przypadkiem. Dziewczyna próbowała mi się wyrywać ale nie bardzo, a ja trzymałem ją mocno w uścisku. Całowaliśmy się aż do utraty tchu. Pozwalała mi też dotykać swoich jędrnych piersi. Po domu nie nosiła stanika.

Odskakiwaliśmy od siebie, gdy nadchodził ktoś z domowników. A jeśli nikt nam nie przeszkodził, to i tak po chwili wypuszczałem ją z ramion i wchodziłem do mieszkania, a Steńka zostawała jeszcze chwilę, by doprowadzić do porządku włosy. Przez resztę wieczoru nie zbliżaliśmy się do siebie, prawie nie zwracaliśmy na siebie uwagi.

Chcę tu od razu wyjaśnić. Lubiłem te ukradkowe pieszczoty ze Steńką, ale nie dla niej przychodziłem do Świerczyńskich. W każdym bądź razie do momentu, w którym postanowiliśmy się ze Steńką pobrać, nie przywiązywałem większej wagi do tych pocałunków. Były one — jakby to powiedzieć? — jedną z wielu atrakcji związanych ze spędzeniem czasu u Świerczyńskich.

Obaj bracia Steńki — Robert i Zdzich — byli moimi najlepszymi kumplami. Stanowili parę wyjątkowo skontrastowaną i dlatego świetnie się uzupełniali. W zależności od aktualnego nastroju, raz przedkładałem towarzystwo jednego, a kiedy indziej drugiego.

Robert był parę lat starszy ode mnie. Jeszcześmy się bawili ze Steńką w piaskownicy, kiedy on już chadzał na randki z dziewczynami i ściskał je wieczorami na ławkach w pobliskim parku. Wiem, bo czasem podglądałem go, słuchając pisku i śmiechu dziewcząt, od którego aż mrówki chodziły po grzbiecie. W tym czasie Robert był dla mnie uosobieniem wszelkich zalet męskich i w ogóle ideałem.

Gdy dorosłem, wyzbyłem się chłopięcych kompleksów w stosunku do Roberta. On zresztą nigdy nie zadzierał nosa. Sport i dziewczyny, to były dwa tematy, które z nim mogłem omawiać bez końca. Sytuacja zmieniła się nieco, gdy Robert ożenił się z Jolką i wprowadził ją do domu rodziców.

Na tle wesołego, nieco rubasznego Roberta Zdzich przedstawiał się niepozornie. Był małomówny, skupiony wewnętrznie. Lubił majsterkowanie i nigdy nie siedział bezczynnie. Nieco młodszy ode mnie zawsze okazywał mi sympatię, ale czynił to dyskretnie, nie narzucając się nigdy. Nie odezwał się do mnie, póki ja go nie zagadnąłem. Nie włączał też się do moich rozmów z Robertem. Gdy miałem przykrości w pracy, lub jakieś inne powody do zdenerwowania, obcowanie ze Zdzichem działało na mnie kojąco.

Pora przejść do charakterystyki głowy rodziny. Michał Świerczyński był majstrem w fabryce chemicznej. Pracuję w innej branży i mało się wyznaję na chemii. Dlatego może nie potrafię dobrze wyłożyć, skąd brała się sława majstra Świerczyńskiego. Podobno jednak dyrektorzy i inżynierowie nie podejmowali żadnej ważnej decyzji bez uprzedniego upewnienia się, co o tym sądzi stary Świerczyński. Kiedyś to go nawet wybrano delegatem na kongres związków zawodowych w Warszawie. Odprowadzaliśmy go wszyscy z dumą na dworzec, gdzie grała orkiestra wojskowa, a piękne dziewczęta podawały Świerczyńskiemu kwiaty. Stary żadnej nie przepuścił, wycałował z dubeltówki, aż się biedaczki zarumieniły. Mrugnął przy tym wesoło do żony i powiedział: — Trudno, Małgośka, jak delegat to delegat:

Nie muszę dodawać, że i we własnym domu autorytet miał wielki. Swoim jowialnym sposobem bycia wypełniał ściany swego mieszkania, narzucał ton całej rodzinie. Wszyscy czworo — Steńka, Robert, Zdzich i ja — przepadaliśmy za nim. Może właśnie głównie ze względu na niego tak lubiłem swoje codzienne wizyty u Świerczyńskich?

Mnie traktował na równi z własnymi dziećmi. Trudno się dziwić. Wyrosłem na jego oczach z małego szkraba na dorodnego — jak mówią — chłopaka. Przyjaźnił się z moim ojcem i był jednym z tych, co nieśli jego trumnę z kaplicy cmentarnej na miejsce wiecznego spoczynku. Robert też był do tego dopuszczony, my ze Zdzichem byliśmy wtedy jeszcze za smarkaci. Minęły lata, obraz ojca rozostrzył mi się w pamięci i właściwie tylko stary Świerczyński raz po raz mi go przypominał. Żadnej okazji nie przepuścił, by mego starego nie powspominać z uznaniem i szacunkiem. Chyba każdemu miło słuchać, jak kto dobrze mówi o jego rodzicach. Więc lubiłem wujka Michała jeszcze bardziej i w jakimś stopniu utożsamiałem go ze swoim ojcem.

Ktoś mógłby sądzić, że życie u Świerczyńskich płynęło idyllicznie. To nie było tak. Z Robertem, nim się ożenił sporo było kłopotów, bo się zabawić i wypić lubił. Często nad miarę. Nie będę już wspominać historii skrobanki, która przysporzyła Świerczyńskim mnóstwo przykrości. Potem było huczne weselisko, ale wybranka Roberta, Jola, nie przypadła starym do gustu. Ale co mieli robić? Z Robertem, jak się uparł, nic wskórać nie mogłeś, ani gniewem ani po dobroci. Jola okazała się dziewczyną swarliwą i nieporządną, co musiało odbić się na atmosferze domu.

Już opowiedziałem o Świerczyńskich, a nic jeszcze o ciotce Małgosi. To nie przypadek. Po prostu była to osoba tak cicha i spokojna, że ledwie dostrzegalna. Żyła całkowicie w cieniu swego męża, mając go za ideał i wyrocznię. Trzeba było uważnie jej się przyglądać, by dostrzec, że myśli i czuje także na własny rachunek.

No, więc przedstawiłem dom Świerczyńskich jak umiałem. Pora przystąpić do opisu wydarzeń, które zaczęły się ubiegłego roku, tak na wiosnę. Musiała być wiosna, bo pamiętam, że za oknami kwitły jabłonie, a matka zapakowała mi już watowaną kurtkę w naftalinę i wyniosła na strych. Takiego właśnie nasyconego wonią kwiatów wieczoru zaszedłem jak zwykle do Świerczyńskich. Na pozór wszystko było jak zwykle, ale zbyt dobrze znałem ten dom, by nie odczuć, że coś się od normy odchyliło. Wujek Michał stał w oknie obrócony plecami do pokoju i spoglądał przed siebie. Nic by w tym nie było dziwnego, gdyby w pozycji tej pozostał minutę, dwie, no, dziesięć minut. Ale on nie odwrócił się przez cały wieczór. Nie odpowiedział na moje powitanie, nie słyszałem też, by się w ogóle do kogoś odezwał. To było niezwyczajne, nie w jego stylu.

Pomyślałem jednak, że i wujek Michał ma prawo raz na dwadzieścia lat być nie w sosie, zapytałem więc półgłosem Zdzicha, czy nie zagrałby partyjki warcabów. Właśnie! Zapytałem półgłosem. Było coś w atmosferze wieczoru takiego, co zmuszało do zachowania ciszy. W grze byłem roztargniony, popełniałem szkolne błędy, a i Zdzich wydawał się nieskoncentrowany, nie potrafił moich pomyłek wykorzystać. Nie mogłem się opanować, by raz po raz nie spojrzeć w kierunku okna, na którego tle tkwiły nieruchomo plecy starego.

Tego wieczoru nie dowiedziałem się w czym rzecz. Nikt mi tego nie wyjaśnił, a ja dyskretnie nie rozpytywałem. Może nie przykładałem do sytuacji odpowiedniej wagi, ale chyba nie to. Czułem, że coś się musiało zdarzyć, ale wychowano mnie w takim duchu, by zbyt wiele nie pytać.

Może się to wydać komuś nieprawdopodobne, ale idąc do Świerczyńskich następnego dnia, miałem przeświadczenie, że tam coś pękło i że nigdy nie będzie już tak jak dawniej. Gdy wszedłem, jedno spojrzenie potwierdziło moje przeczucie. Wujek Michał stał w oknie jak wczoraj. Nie zareagował na moje wejście, ani na odezwania ciotki Małgosi, która starała się jakby wypełnić lukę wytworzoną przez dziwaczne zachowanie się męża.

Nie wytrzymałem i szepnąłem do Roberta, który się akurat napatoczył: — On cały dzień tak? — Robert wzruszył ramionami jakby ze zniecierpliwieniem i odpowiedział: — Cały czas tam tkwi. Od wczoraj. Tyle że się parę godzin przespał.

Ciotka Małgosia podsunęła właśnie staremu talerz z chlebem obłożonym krakowską kiełbasą, ale Świerczyński ani drgnął. Pozostawiła więc jedzenie na parapecie okna i powiedziała głośno: — No, przecież się nie zagłodzisz! Zjedz coś. — Tym razem odważyłem się zwrócić wprost do ciotki: — Co z wujkiem? Czy może chory? — Ciotka, tak zwykle łagodna, machnęła ręką i zawołała gniewnie: — Jaki tam chory! Zgłupiał na stare lata i tyle! Zawsze miał więcej serca dla swojej fabryki niż dla mnie i dla własnych dzieci. Wiedziałam, że mu tam w pracy prędzej czy później złem za dobro odpłacą. No i masz!

— Stało się co? — dopytywałem dalej zdecydowany już wyświetlić sprawę do końca. — A no stało się! Jakaś tam, jak on mówi, awaria. Wysadziło drogie aparaty zagraniczne. Ktoś nie dopatrzył, a jemu przypisali całą winę. A jakże! Sąd nad nim odprawili. Wszystko co dotąd chwalili na złe wyszło. Zrobili z niego szkodnika, prawie sabotażystę. — Ciociu! — zawołałem — Tak tego nie można zostawić. Wuj musi się bronić. — Ba! Bronić się — westchnęła Świerczyńska — Już za późno. Usunęli go z pracy, a on zapiekł się w sobie. Widzisz, że się nie rusza i nie gada. Sterczy jak ten kołek w płocie i ani spojrzy za siebie. Moglibyśmy się tu nawet pozabijać.

I tak zaczęła się dziwna choroba wujka Michała. Płynęły tygodnie, a w zachowaniu jego nie było zmiany. Poza snem całe dnie spędzał w oknie, nie interesując się życiem, które toczyło się przecież za jego plecami. Z początku szukano jakiejś rady. Ciotka Małgosia sprowadziła nawet lekarza z rejonu, ale bo to stary dał się zbadać! Doktor wysłuchał tylko ciotkę i kiwał głową. Nazwał tę chorobę. Zaraz! Jak to on powiedział? Aha! Psychoza reaktywna. Proponował szpital, ale ciotka nie chciała o tym słyszeć. — Nie dam go na poniewierkę! Przecież nikomu nie zawadza. Niech sobie stoi, chudziaczek, jak mu z tym dobrze!

Tak więc domownicy pogodzili się z sytuacją. Przestali zwracać się wprost do starego. Ciotka podsuwała mu w milczeniu jedzenie i więcej się nim nie interesowała. We mnie natomiast wzbierał protest.

Pamiętam, jak któregoś wieczoru nie zastałem w domu ciotki, Roberta i Zdzicha. Pojechali z wizytą do siostry ciotki w drugi koniec miasta. Steńka została, gdyż prawdopodobnie nie bardzo było wiadomo, czy starego zostawić w otwartym mieszkaniu, czy też go zamknąć. Więc jak przyszedłem, to usiadłem na pluszowej kanapie, a Steńka natychmiast usadowiła mi się na kolanach. Tego jeszcze między nami nie było. Zresztą krępowała mnie obecność wujka Michała. Wskazałem go oczyma Steńce, ale ta nachyliła się tylko i zaczęła mnie całować. W ogóle zachowywała się tak, jakbyśmy byli sami w pokoju. Ja byłem wciąż bierny, jak sparaliżowany. W pewnej chwili ujęła moją rękę i powiodła nią po swoim gładkim udzie...

Trudno opisać, jak byłem tym zażenowany. Spoglądałem ukradkiem w stronę pleców starego. Ani drgnęły. A przecież musiał wiedzieć, co się dzieje. Nie wytrzymałem i odezwałem się głośno: — Wujku Michale! Proszę nie myśleć, że ja... że my... — Wciąż miałem nadzieję, że się wreszcie odezwie, ale on milczał. Więc strzeliłem z najcięższego kalibru: — Wujku, ja się chcę ze Steńką żenić.

Moje uczucia były złożone. Trochę zaskoczyła mnie samego determinacja, z jaką starałem się zmusić starego do reakcji. Jednocześnie czułem, że płacę wysoką cenę. Nie było odwrotu. Gdzieś w kąciku świadomości gnieździła się odrobina żalu, że to już. Wybrałem na całe życie. I to właśnie Steńkę, która była dla mnie jak wiele razy czytana książka. Nic mnie w niej nie mogło zaskoczyć, wszystko było znane i zwyczajne. Z drugiej strony rozpierała mnie duma, że oto zachowałem się jak mężczyzna. Nie pozwoliłem, by Świerczyński źle sobie o córce pomyślał.

Więc kiedy uszczęśliwiona Steńka tuliła się do mnie jeszcze gwałtowniej, ja oczekiwałem właściwego odzewu ze strony wuja. Odczekałem dłuższą chwilę, a gdy Świerczyński nie odezwał się, powtórzyłem, ale już mniej pewnym głosem: — Chcę się żenić ze Steńka. Czy wujek słyszy? Czy wujek się zgadza? — Ale stary ani drgnął, a Steńka prychnęła jak kotka: — Równie dobrze możesz przemawiać do pieca.

Miałem wielki żal do Świerczyńskiego, że nie docenił rozmiarów mego poświęcenia. Ale na tym nie skończyły się wydarzenia tego wieczoru. Jola i Robert wrócili z wizyty ogromnie skłóceni. Podobno Robert zalecał się do jakiejś kuzyneczki. Doszło do sceny małżeńskiej, takiej jak nigdy dotąd. Robert krzyczał: — Wynoś mi się z domu, ty dziwko! Mam cię potąd, o, potąd! — Dobrze, pójdę — syczała Jola — a raczej pójdziemy z twoim dzieckiem w brzuchu. Jeszcze ci o tym nie mówiłam. A teraz wiesz. I nie myśl, że to dziecko zobaczysz na oczy!

Na wzmiankę o poczętym dziecku ciotka Małgosia ryknęła płaczem. Kręciła się bezradnie między synem i synową, która zaczęła pakować swoje szmatki. W pewnej chwili ciotka podbiegła do Świerczyńskiego i zawołała: — Czyś ty z kamienia? Zrób coś! Ona nie może tak odejść! — A gdy wuj ani drgnął, ona, tak zawsze łagodna kobieta, poczęła szarpać go gwałtownie i okładać kułakami po tych wzgardliwych plecach. A starego nic to nie obeszło. Wyobcował się całkiem z życia rodziny. Stał na uboczu i na swój sposób przeżywał pewno własne sprawy.

A w ostateczności problemy rodzinne ułożyły się i bez jego udziału. Jolka po dwóch tygodniach nieobecności wróciła do Roberta i chodziła po mieszkaniu, obnosząc się ze swoim zarysowującym się zaledwie brzuchem. My ze Steńką tuliliśmy się do siebie na oczach wszystkich jako oficjalni narzeczeni. I wydawało się, że nic się już z wujkiem Michałem nie może zmienić. Myśleliśmy, że któregoś dnia zemrze mu się w tym oknie, a my go poniesiemy w trumnie. Ciotka i dziewczyny popłaczą trochę, wspominając, jaki to był z niego galanty chłop, nim się zaciął w sobie.

Ale tak się nie skończyło. Dzięki przypadkowi. Wczesną jesienią wpadł do Świerczyńskich Jan Wielgus, który po wujku Michale objął stanowisko majstra. Głupio mu musiało być bardzo. Nawet nie usiadł na zaproszenie ciotki Małgosi. — Źle się stało, że Michał odszedł z zakładów — powiedział — Wszyscy już to rozumiemy. Bez niego robota kuleje. A teraz mamy wielki kłopot, pani Świerczyńska. Wielki. — I zaczął się rozwodzić. Ja się na tej ich aparaturze nie znam, więc nie powtórzę. Ale Wielgus tłumaczył ciotce szczegółowo przyczyny nowej awarii, która spowodować może nieobliczalne straty.

— Jeden Michał mógłby tu pomóc — powiedział na zakończenie — Montował tę aparaturę przed trzydziestu laty i zna każdą śrubkę. — Na niego nie liczcie — odrzekła ciotka zajęta robotą przy kuchni.

Ja zaś spojrzałem w stronę okna i omal nie wydałem okrzyku. Wuj Michał drgnął, jakby się budził ze snu, po czym odwrócił się powoli, bardzo powoli... Wydawało mi się, że postać jego rośnie, ogromnieje, aż wypełniać zaczyna pokój. A potem ruszył ze swojego miejsca, wpatrując się uporczywie w ciotkę i Wielgusa, którzy jeszcze niczego nie zauważyli...

Fragment powieści przygotowywanej dla Wydawnictwa Łódzkiego

DOKĄD ZMIERZA WATYKAN?

W małej włoskiej mieścinie Frascati odbyła się trzydniowa (5—7 września br.) konferencja nuncjuszy watykańskich, na której rozważano nowy kierunek zagranicznej polityki Kościoła. Jak utrzymują obserwatorzy polityczni, aktywizacja Watykanu na arenie międzynarodowej jest podyktowana chęcią nie uchylania się od procesów odprężenia w Europie i na innych kontynentach świata.

Mimo zamkniętego charakteru obrad, w których wzięło udział około siedemdziesięciu przedstawicieli dyplomacji watykańskiej, zyskały one szeroki rozgłos. Głównym powodem wyboru Frascati na miejsce konferencji było zabezpieczenie tajemnicy tego spotkania, czego, jak należy przypuszczać, nie gwarantuje nawet Watykan, choć małomówność i dyskrecja nuncjuszów jest już niemal przysłowiowa. Nic dziwnego, reprezentują oni interesy stolicy apostolskiej w siedemdziesięciu krajach, z którymi Watykan utrzymuje stosunki dyplomatyczne.

Konferencja ta, pierwsza w najnowszej historii Watykanu, była poświęcona przede wszystkim problemom wewnętrznym. Należy mniemać, iż wpłynie ona na wzmocnienie kontaktów między nuncjuszami i centralnymi organami w Rzymie, którzy w całej swej strukturze coraz bardziej grawitują do systemu państwowego.

Dla nuncjuszy jednak, spośród których nie wszyscy mają możność utrzymywania między sobą, stałych kontaktów, problemy międzynarodowej orientacji politycznej Kościoła są ważniejsze, niż techniczne zagadnienia wewnętrzne. W Watykanie nie ukrywa się poglądu obecnego papieża, że najpóźniej do XXI wieku socjalizm będzie odgrywać decydującą rolę w świecie. Siedemdziesięciopięcioletni papież zdaje sobie sprawę, iż problemy, które znajdą się wówczas na porządku dziennym będą mogli zrozumieć i rozwiązać tylko jego następcy. Stawia on przed sobą zadanie ostrożnego ukierunkowania linii politycznej Watykanu: podwójnej strategii ochrony jeszcze utrzymanych pozycji Kościoła i jednoczesnej współpracy z siłami Wschodu we wszystkich dziedzinach, neutralnych wobec religii.

Przeciwko temu kursowi, który coraz bardziej wyraźnie odbiega od zażartej konfrontacji, prowadzonej przez kościół katolicki do śmierci Piusa XII, to jest do 1958 roku, występuje tylko nieliczna grupka dyplomatów kurii rzymskiej, których popiera były zastępca sekretarza stanu państwa kościelnego do spraw nadzwyczajnych — Samore. Większość politycznych doradców papieża uważa rozwój tej ogólnej tendencji polityki międzynarodowej za nieunikniony.

Jednakże na płaszczyźnie taktycznej, jeśli chodzi o te aktualne problemy, ścierają się w Watykanie dwa kierunki, nieomal diametralnie różne. Jeden z nich reprezentuje arcybiskup Agostino Casaroli, który faktycznie, chociaż nieoficjalnie, jest „ministrem spraw zagranicznych" Watykanu i odgrywa ważną rolę w sprawach polityki. Jego linia polityczna zmierza do stworzenia warunków na współistnienie ze Związkiem Radzieckim. Casaroli nieugięcie trzyma się swego kursu, być może dlatego, że nie widzi żadnej innej alternatywy.

Antagonistą Casaroli, zajmującym równie wysokie stanowisko w hierarchii watykańskiej, jest arcybiskup Benelli, który także podlega sekretarzowi stanu państwa watykańskiego, kardynałowi Vijo, i ma codzienny dostęp do papieża. Jego kartą atutową są... Chiny. Linia polityczna arcybiskupa Benelli sprowadza się do tego, by drogą lawirowania stworzyć Kościołowi większe szanse przetrwania, czego potrafił dokonać Casaroli drogą swoich jednostronnych kontaktów z Moskwą.

Arcybiskupowi Benelli udał się niedawno manewr oddelegowania męża zaufania arcybiskupa Casaroli — monsignora Celi — do pracy dyplomatycznej w ONZ, jako stałego obserwatora Watykanu. Celi otrzymał niedwuznaczne zadanie utrzymywania kontaktów z delegacją Chin, która przejawia zadziwiającą gotowość do rozmów z Watykanem. Jednakże obserwatorzy sceptycznie oceniają, z czysto politycznego punktu widzenia, możliwości Watykanu na wywieranie pośredniego nacisku na Moskwę przy pomocy związków z Pekinem.

Konferencja we Frascati ma duże znaczenie dla określenia kierunku polityki Watykanu, nawet jeśli informowano o tym wielce konfidencjonalnie i bardzo mało.

SKALA NIEZGODY...

Spór między Anglią a Hiszpanią o Gibraltar, który przycichł nieco, dziś rozgorzał z nową gwałtownością.

Przez okres ostatnich dwóch lat rządy Wielkiej Brytanii i Hiszpanii — prowadziły serdeczne — jak podkreślały to obie strony — rozmowy w związku z dawnym sporem o angielską kolonię Gibraltar, do którego rości prawa Hiszpania. Ale gdy w maju tego roku zakończono szereg spotkań, które nazywano szumnie „współpracą", obie strony, podobnie jak i przedtem, były dalekie od porozumienia, zaraz po tym i stanowisko premiera został powołany admirał A. C. Blanco, prawa ręka generała Franco, a tekę ministra spraw zagranicznych Hiszpanii powierzono Lopezowi Rodo. Wkrótce artykuły redakcyjne poświęcone sprawie Gibraltaru, które zaczęły się przewijać przez łamy hiszpańskich gazet reprezentujących punkt widzenia rządu, przyjęły wyraźnie ostry ton. Na przykład monarchistyczna gazeta „ABC" uprzedzała, że „w dyplomacji hiszpańskiej skończył się już okres dobroduszności i oczekiwania". Hiszpania nie będzie mogła realizować swojej europejskiej i atlantyckiej polityki dopóty, dopóki nad terytorium Gibraltaru, na południowej rubieży Hiszpanii, będzie łopotać angielska flaga.

Polityczna burza w Londynie, wywołana staraniami Hiszpanii o zakupienie wojskowych samolotów odrzutowych z pionowym startem, produkcji angielskiej, jeszcze bardziej przyciągnęła uwagę polityków na kwestię sporu o Gibraltar.

Ostatnio, niektóre gazety hiszpańskie wyraziły pogląd, że Hiszpania mogłaby pomyśleć o stworzeniu zapory balonowej wokół kolonii, aby utrudnić przeloty do Gibraltaru. Jednakże większość obserwatorów odrzuca taką myśl, jako całkowicie nierealna i niewykonalną.

Niemniej, ostatnio, Hiszpania podjęła kilka mniej wprawdzie sensacyjnych, ale potencjalnie ważnych decyzji.

Należy do nich, m. in., decyzja Hiszpanii z 6 sierpnia br., zabraniająca wszystkim niewielkim statkom, płynącym z Gibraltaru, zawijania do portu Algeciras, oddzielonego od Gibraltaru zalewem. Takie rejsy pozwalały ludności Gibraltaru, głównie Anglikom, na odwiedzanie przyjaciół oraz krewnych po hiszpańskiej stronie zalewu i były dozwolone od 1969 roku. Mimo że wszelka inna bezpośrednia łączność, morska, lądowa, lotnicza i telefoniczna — została w tym czasie przerwana przez władze hiszpańskie.

Wieczorowa gazeta madrycka „Informacjones" nazwała ten zakaz pierwszym krokiem w kierunku „zaciskania pierścienia" wokół Gibraltaru. Jednakże, nie mówiąc o mało prawdopodobnej idei stworzenia zapory balonowej, Hiszpanie, zdaniem obserwatorów politycznych, nie mogą obecnie wprowadzić w czyn żadnych innych efektywnych ograniczeń. Dziewiętnaście tysięcy mieszkańców Gibraltaru jest już niemal całkowicie odizolowanych od Hiszpanii.

Jak utrzymują eksperci polityki międzynarodowej, staje się coraz bardziej prawdopodobne, iż Madryt przygotowuje nowy nacisk dyplomatyczny na Anglię.

Istnieje przynajmniej jedna oznaka, która wskazuje, iż nowe uderzenie Hiszpanii nie jest za górami. Oto w sierpniu br. rząd hiszpański wystosował do Generalnego Sekretarza ONZ notę, w której informuje go, że „rozmowy w sprawie sporu o Gibraltar zakończyły się fiaskiem".

Hiszpania uprzedza w swej nocie, że teraz będzie zmuszona „bardzo poważnie pomyśleć o podjęciu dalszych kroków, w celu położenia kresu temu sporowi, jeżeli w sprawie dekolonizacji Gibraltaru nie będzie można osiągnąć jakiegokolwiek postępu..."

J. CZECH

RYSUNKI I LITOGRAFIE BOGUSŁAWA KUDELSKIEGO

Bogusław Kudelski — „Nie straszcie tarpany" — litografia

Na tle różnorodnej twórczości łódzkich plastyków sztuka Bogusława Kudelskiego zajmuje odrębne miejsce zarówno z racji tematyki jaką podejmuje, jak również i formy, którą artysta operuje. Kudelski ukończył łódzką Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w 1965 roku, studiując w pracowni prof. Stefana Wegnera. Zajmuje się głównie rysunkiem i grafiką. Pracuje seriami, tworząc cierpliwie cykle tematyczne, z których najważniejsze są: antyczny tryptyk „Konie Polikleta", na który składają się:

1. „Tarpany i Pegaz"
2. „Uprowadzenie koni Polikleta"
3. „Czwarty koń Polikleta"

oraz obszerny cykl „Katedry" i cykl bieszczadzki.

Ideą przewodnią rysunków i litografii Kudelskiego jest głębokie i dojmujące poczucie zagrożenia zarówno w odniesieniu do środowiska człowieka, jak i też jego samego. Kudelski stwarza apokaliptyczne wręcz w swej wymowie wizje upadku dawnych, zdawałoby się niezniszczalnych wielkości, na pozór jeno wiecznotrwałych potęg. Stwarza głębokie, pełne ekspresji wizje degradacji najstarszych mitów ludzkich, aktualizując je przez wprowadzenie rekwizytów współczesności (— pędzące konie i ciężka sylwetka samolotu nad nimi—). Kudelski głęboko przeświadczony, iż współczesna cywilizacja stechnokratyzowana i bezosobowa zagraża w sposób nieodwracalny fundamentalnym wartościom człowieka nie stara się moralizować ani straszyć. Jego wizje są czymś w rodzaju memento — Katedry, które rozsypią się w proch i pył już nigdy nie zostaną odbudowane, nikt nigdy nie podniesie ich z ruin. Przestaną istnieć. Konie Polikleta rozproszone po świecie nie zbiorą się nigdy więcej w jedno wspólne stado.

Kudelski operuje specyficzną formą — rysunkiem realistycznym wywodzącym swój rodowód ze starych sztychów, rysunkiem precyzyjnym i wyrazistym, bez zbędnych deformacji, a także i bez upiększeń mimo, iż plansze jego zapełniają nawarstwiające się na siebie szczegóły, symbole, znaki i fragmenty pism. Grafikę Kudelskiego raczej się czyta niż ogląda. Wymaga ona ciekawości cierpliwej i głębokiego zastanowienia.

A. GRUN

LIST Z PRZYTUŁKU

SERGIO TURONE

Wierzcie mi na słowo, ale nie ma nic gorszego niźli znaleźć się w przytułku dla byłych Bogów. Ale dobrze mi tak! Jak to się mówi: mając dobrze, nie szukaj jeszcze lepszego. I czy wolno mi się skarżyć? Miałem solidne stanowisko, cieszyłem się szacunkiem otoczenia. Wątpię, czy ktoś inny miał większe perspektywy awansu. Ale nie, trzeba też było rzucać wyzwanie losowi! Teraz popatrzcie proszę jakiej sobie napytałem biedy!

Zgadzam się, że gdyby nie wojna z roślinami, wszystko skończyło by się dobrze. Zostałbym skromnym Bogiem na jakiejś oddalonej planecie. Gdybym nie odpowiedział na owe ogłoszenie reklamowe, wszystko zostało by po staremu, a ja kontynuowałbym cicho i spokojnie pracę anioła-sekretarza w archiwalnym biurze Raju. Gdybyście wiedzieli, z jaką goryczną opłakuję stracony, szczęśliwy czas.

Wszystko zaczęło się fatalnego dnia, kiedy trafiła w moje ręce obca gazeta. W biurze archiwalnym nigdy dotąd nie sprowadzano obcych gazet, toteż, nie mam pojęcia jakim cudem trafiła tu właśnie ta. Pracy, mówiąc szczerze nie miałem za wiele, za to wolnego czasu — aż nadto, dlatego z ciekawością zacząłem przeglądać gazetę. Na stronie szóstej moją uwagę przyciągnęła kolorowa reklamówka: „Chcesz zostać Bogiem? Dla ciebie wprowadzamy zaoczne kursy „Fulgor" — najlepszą szkołę w całym Wszechświecie". Dalej był adres. Pamiętam, po przeczytaniu tej reklamówki, uśmiechnąłem się: no, wyobrażam, ile w tym prawdy! Odłożyłem gazetę, bowiem nadeszły nowe dokumenty archiwalne wymagające opracowania. Wieczorem, rozmawiając z kolegą, wspomniałem o pewnym znajomym cherubinie.

— Jakoś go nie widuję — powiedziałem.

— A co, nie wiesz? — zdziwił się kolega. — On zdał egzaminy i otrzymał dyplom Boga czwartego stopnia.

Nie jestem zazdrosny, ale wróciwszy do biura, natychmiast odnalazłem ogłoszenie z gazety. Dlaczego mam nie spróbować? Należy dowiedzieć się tylko o szczegółach. I napisałem list na adres umieszczony pod ogłoszeniem.

Odpowiedź nadeszła szybko. Zaproponowano mi: zwykły czteroletni kurs nauki lub dwuletni przyspieszony. Wpisowe było niewielkie i gwarantowało otrzymanie niezbędnych podręczników i pomocy naukowych.

Kiedy rusza z miejsca maszyna przeznaczenia, wszystkie jej drogi schodzą się w jednym punkcie. Toteż formularz w moim biurku najpewniej pokryłby kurz, gdyby w owe dni Sekretariat Raju przejęty podnoszeniem stopnia kultury swoich pracowników, nie wydał specjalnego dekretu. Zgodnie z nim, wszyscy anieli, którzy zapisali się na kurs typu uniwersyteckiego, otrzymywali prawo do skróconego dnia pracy. Czyż muszę mówić, że natychmiast wypełniłem i wysłałem ankietę? O, nie, uczyć się na kursach „Fulgor" nie miałem zamiaru, interesował mniej jedynie skrócony dzień pracy. W czasie nauki należało zdać 234 egzaminy, jeden trudniejszy od drugiego, a ja twardo postanowiłem, że nie będę zdawać żadnego.

Ale kiedy otrzymałem podręczniki, okazało się, że wśród innych przedmiotów, trzeba zdać egzamin z filozofii. Filozofia interesowała mnie zawsze. Przerzuciwszy kilka stron podręcznika, niepostrzeżenie zagłębiłem się w jego treść. Pomyślałem: w końcu byłoby głupio zapisać się na kurs i nie zdać ani jednego egzaminu. Tym bardziej, że dla mnie egzaminu. Tym bardziej, że dla mnie egzamin z filozofii będzie jedynie formalnością.

Tak więc zacząłem przygotowywać się do egzaminów. Niezbyt gorliwie. Niektóre rozdziały znałem wyśmienicie, inne, nudne opuszczałem zupełnie. Na egzaminie znów zadziałał szczęśliwy traf: otrzymywałem pytania akurat z tych rozdziałów, które świetnie znałem. W konsekwencji — najwyższa ocena: 30 z plusem!

Był to początek końca, dopiero wtedy zabrałem się na serio do nauki. Zdałem wszystkie egzaminy. A kiedy nadszedł czas pisania pracy dyplomowej — postanowiłem wykorzystać swą własną, oryginalną teorię. Dziś, na samo wspomnienie o tym jestem gotów kąsać własne łokcie. Prawie wszyscy nieucy przepisują cudze prace i otrzymują dyplom, a mnie raptem zachciało się rozpracować oryginalną teorię.

Praca dyplomowa nosiła tytuł: „Ludzie i rośliny". Polemizowałem w niej z tradycyjnym spojrzeniem, jakoby Bóg przede wszystkim winien troszczyć się o dobro ludzi. Ja udowadniałem, przedkładając przekonywające argumenty, wyższość roślin nad ludźmi. Sens moich rozważań był następujący: jeśli rośliny potrafią rozwiązywać techniczne problemy związane z przemieszczaniem się, to mogą także zepchnąć ludzi i stworzyć bardziej wysoką cywilizację.

Teoria ta narobiła nie mało szumu w kręgach akademickich. Nawet archaniołowie, którzy odrzucali moje twierdzenia, musieli przyznać, że jako całość moja praca posiada wysoką naukową rangę. Na moje nieszczęście, w tym samym dniu, kiedy tak świetnie broniłem swojej pracy i otrzymałem dyplom Boga, wybuchła wojna pomiędzy ludźmi a roślinami.

Dla mnie osobiście — miała ona zgubne następstwa. Moją teorię uznano za dowód diabelskiej działalności szpiegowskiej. Zostałem obwiniony o ukrywanie danych o zamierzonej przez rośliny wojny totalnej. Próby obrony okazały się bezcelowe. Uznano mnie za tajnego agenta roślin. Niektórzy spośród sędziów zażądali nawet mojego wygnania z Nieba. W konsekwencji przegłosowali stronnicy umiarkowanego stosowania kar. Dlatego jestem tu.

Mimo wszystko, jestem pierwszym Bogiem, który znalazł się w przytułku nie piastując swojej funkcji ani jednego dnia!

FILM

GOYA

Powieści biograficzne mają większy kredyt zaufania zarówno u czytelników jak i krytyków, niżeli filmy biograficzne, które raz po raz dostają za swoje z obu stron. Zjawisko to tłumaczą chyba przede wszystkim otwarte dla wyobraźni czytelnika ramy książki. Wśród wielu książkowych biografii powieść Liona Feuchtwangera „Goya" sytuuje się szczególnie wysoko. Czytelników pociąga zarówno fascynująca postać bohatera i mistrzowski rysunek epoki, jak i głęboki sens owej „trudnej drogi poznania", będącej głównym celem penetracji pisarza.

Międzynarodowa ekipa filmu „GOYA" pod reżyserskim przewodnictwem Konrada Wolfa stanęła wobec podwójnie trudnego zadania – sprostać tematowi biografii wielkiego pisarza, dorównać sukcesowi książki, która stała się źródłem filmowego scenariusza. Film „Goya" powstał w kooprodukcji niemieckiej, radzieckiej, bułgarskiej i jugosłowiańskiej, przy udziale wybitnych aktorów z wielu krajów (m.in. w filmie tym grają: Mieczysław Voit, Gustaw Holoubek i Andrzej Szalawski). Jeśli wierzyć nagrodom festiwalowym, film „Goya" jest przedsięwzięciem nader udanym, gdyż uzyskał Nagrodę Specjalną Jury na M.F.F. w Moskwie w 1971 roku. Naroda Specjalna Jury na większości światowych festiwali jest nagrodą szczególnie wysoko notowaną. Sądzić należy, że jury moskiewskiego festiwalu tym razem uhonorowało ogromny wysiłek, ambicje i rzetelność realizatorskiego zespołu, a nie ostateczny artystyczny efekt. Trudno jednakże zaakceptować głosy zachwytu, zwłaszcza niemieckiej krytyki filmowej. Mysmy byli surowsi i obiektywniejsi wobec podobnie olbrzymiego przedsięwzięcia, jakim była realizacja filmu „Kopernik".

Powróćmy jednak do filmowego „Goyi" – w istocie film przygotowano z olbrzymią starannością o pejzaż wnętrza, kostium i rekwizyt, dbałością wobec realiów, historii i obyczaju. W centrum uwagi tak, jak i u Feuchtwangera, postawiono wielkiego malarza, śledząc jego „drogę poznania" w konflikcie ze światem, którego był częścią, świadkiem i twórczym rejestratorem. Powierzono rolę Goyi aktorowi wybitnemu i Donatas Banionis stworzył kreację przejmującą. Jest to rola tym godniejsza naszego uznania, że wydobyta z osobowości aktorskiej siłą talentu Banionisa, któremu reżyser nie pomógł w żaden sposób, a przynajmiej w sposób, którego należy oczekiwać od współczesnego filmowego inscenizatora.

Obrazki z historii i obyczajów, choćby najwierniejsze wobec nich, wymagają artystycznego, w tym wypadku filmowego ożywienia. Żywe obrazy to stare dzieje sztuki inscenizacyjnej, nie pomaga im już dziś filmowy zapis i szkolny montaż. Kamera zapisać może wszystko, lecz przed kamerą stoi świat, który inscenizuje reżyser.

Obrazy z życia Hiszpanii i ludzi z przełomu XVIII i XIX wieku przekazał nam Goya i one, zaprezentowane w partiach, które nazwać można filmami w filmie (cykle: „Kaprysy" i „Okropności wojny") są najbardziej przejmujące i najpiękniejsze. Te same obrazy, tym razem „jak żywe" w filmowym wydaniu okazały się dużo banalniejsze. Konkurencja doskonałości stała się dla kina mordercza. W czym było wyjście? – chyba w doskonałości inscenizacji, dramaturgii i dramatyczności. Dramatyczność wydobył jedynie Donatas Banionis, dramatyczność istnieje w reprodukowanych obrazach Francisco de Goya Lucientes.

Wychodzące poza ramy powieści Feuchtwangera ostatnie sceny filmu, akcentujące duchowe związki Goyi z ludową rewolucją, sceny najazdu Francuzów wymagały większej klarowności zarówno dowodu jak i wywodu historycznego. W faktach historycznych gubili się widzowie „Kopernika", w „Goyi", zdarzenia z historii Europy też dla wielu mogą nie być czytelne. Jest to na pewno jedna z trudności, które zawsze czekają na twórców i widzów wielkich filmowych biografii. Rozwiązać je nie jest łatwo, gdy zważy się na rygory filmowej dramaturgii, ale trzeba.

Obok znakomitości kreacji Banionisa odnotować możemy z satysfakcją aktorski popis Mieczysława Voita w roli Wielkiego Inkwizytora. Żartobliwie można mówić o pełnej specjalizacji naszego aktora, który tak często wdziewa różne szaty duchowne, poważnie zaś – o rzeczywistym jego sukcesie. Banionis i Voit mogą w „Goyi" dzielić zasługi jedynie z operatorami: Bergmannem i Ryżowem, którzy próbowali barw z palety Goyi. Dla pozostałego zespołu zostawmy słowa uznania za niewątpliwie rzetelny wkład, w dzieło, którego powstanie było sprawą wielkich ambicji i niewątpliwego trudu. Warto by może w tym miejscu uświadomić sobie choćby tylko proces dochodzenia do ukazania na ekranie obrazów Goyi, Velazqueza i El Greca takimi, jakimi mogły być w czasie, gdy sam Goya na nie patrzył, nie zniszczonymi przez czas, który nas od nich dzieli. Reżyser Konrad Wolf nie jest pierwszym twórcą filmowej biografii, który nie wszystkich zadowolił, choć wielu film ten zechce obejrzeć.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

DZIECI A TELEWIZJA

Pisząc o telewizji, zrozumiałe, że również czytam oceny innych recenzentów. Chodzi mi przy tym zarówno o konfrontacje poglądów jak i najzwyklejsze zaspokojenie ciekawości. No, i także o zainteresowania tematyczne. Tu panuje duża zgodność poglądów. W rubrykach telewizyjnych pisze się więc najczęściej o teatrze, filmie, publicystyce, rozrywce itd. I zgodne również panuje milczenie wokół programów dla dzieci i młodzieży. (Nie wspominając o programach dla szkół, co jest oddzielnym problemem).

Dzieci a telewizja! Temat obecny, ale najczęściej w rozmowach rodziców. Powszechne jest odczucie, że pracujące zwykle na dwóch etatach matki, (jeden domowy), zajęci sprawami wyższego rzędu ojcowie — nie za wiele czasu poświęcają swym pociechom. Nic więc dziwnego, że większość wolnego czasu dzieci spędzają według własnego uznania. Nie jest przy tym źle (ale i nie tak dobrze) że przeznaczają ten czas na oglądanie telewizji. Znam nawet wielu rodziców, którzy o swoich dzieciach mówią wprost, że to nie ich latorośle, lecz „dzieci telewizji".

Przejdźmy jednak od subiektywnych odczuć i osobistych spostrzeżeń piszącego te słowa do ... naukowych konstatacji. O wynikach swoich badań na temat odbioru programu telewizyjnego na łamach tygodnika „Sowietskaja kultura" pisze Galina Gałoczkina. Wobec braku rodzimych badań, przyjmijmy, że w przybliżeniu można je odnieść do naszych dzieci. Wszystkie dzieci są bowiem w jakiś sposób do siebie podobne.

Z badań Gałoczkiny wynika, że dzieci (w wieku od 6 do 16 lat) spędzają przed szklanym ekranem 500 do 1000 godzin rocznie, a więc prawie tyle samo czasu co w szkole. Uważając telewizję za ważny czynnik kształtowania postaw dzieci i młodzieży, element nauczania i wychowania, trzeba wszakże zwrócić uwagę, aby te potencjalne możliwości były jak najlepiej wykorzystane.

Większość ankietowanych (61,7 proc.) ogląda telewizję codziennie. Starsze dzieci spędzają przed ekranem telewizora od 2,5 do 3,5 godziny dziennie. 65,2 proc. ankietowanych stwierdziło, że rodzice pozwalają im oglądać każdy program. Tylko co piątemu dziecku rodzice doradzają, które programy warto i trzeba obejrzeć.

Wyniki nie są rewelacyjne, ale ważne, bo potwierdzają powszechne przeświadczenia. Po pierwsze, dzieci za wiele czasu przesiadują przed telewizorami, niezgodnie z zasadami racjonalnego odpoczynku, w którym ze względów zdrowotnych powinien dominować ruch na świeżym powietrzu. Po drugie, oglądanie wszystkich programów trzeba uznać za zjawisko niekorzystne pod względem społeczno-wychowawczym. Trudne i skomplikowane problemy świata dorosłych są najczęściej niezrozumiałe, a odbierane dosłownie; wprost, mogą wpływać na kształtowanie postaw niesłusznych. Tym bardziej, że rodzice b. rzadko dyskutują z dziećmi na tematy omawiane w programach telewizyjnych (Ponad 50 proc. ankietowanych odpowiedziało, że czynią to w gronie rówieśników). Podobnie jak rodzice, także wychowawcy, opiekunowie i działacze organizacji młodzieżowych nie biorą udziału w dyskusjach na temat TV, mimo iż w programach telewizyjnych życiu i działalności młodzieży poświęca się wiele miejsca. Tak więc ani rodzice, ani szkoła nie wykorzystują telewizji jako ważnego środka wychowawczego.

W efekcie przeprowadzonych badań autorka zaleca redakcji młodzieżowej TV, aby poświęciła więcej uwagi tematom, które wysuwa sama młodzież. W tym celu winny być wśród młodzieży przeprowadzone odpowiednio reprezentatywne badania i sondaże, by wyjść naprzeciw zainteresowaniom dzieci i młodzieży. Autorka twierdzi, że najmłodszych interesują głównie czyny bohaterskie, starszych miłość, a ponad połowa dzieci niezależnie od wieku, interesuje się sportem. Wydaje się, że są to ustalenia dość ogólnikowe, by mogły mieć jakieś praktyczne znaczenie. Potwierdzają tylko konieczność dalszych, na szerszą skalę prowadzonych badań.

W Związku Radzieckim problemom miejsca i roli telewizji w procesie wychowania poświęca się wiele uwagi. Niedawno odbyła się np. ogólnozwiązkowa konferencja p.n. „Telewizja i dzieci" zorganizowana przez Akademię Nauk Pedagogicznych i redakcję dziecięcą TV.

Programy dla dzieci i młodzieży w naszej telewizji są na dość dobrym poziomie. W całości programu zajmują także odpowiednie miejsce, ze szczególnie dużym limitem czasu w niedziele i ferie świąteczne. Redakcja młodzieżowa podejmuje też wiele ciekawych i pożytecznych inicjatyw o niewątpliwych walorach wychowawczych. Np. akcja „niewidzialnej ręki", dzięki której tysiące młodych ludzi pomaga starszym, wykonuje społecznie pożyteczne prace, a przede wszystkim wyrabia w sobie ludzkie odruchy i humanitarne zasady.

Są to więc w sumie sprawy ważne i odpowiedzialne. A na pewno nie jest to tylko sprawa redakcji młodzieżowej TV. Ten ważny instrument wychowania i kształtowania obywatelskich postaw młodzieży musi być racjonalnie wykorzystany. W szkole i w domu. Podczas nauki i wypoczynku. Racjonalnie, a więc w pełni.

JAROSŁAW TARNO

KSIĄŻKA

SPOD LADY

Tym razem chciałbym zachęcić do szybkiego kupna — bo mimo 50-tysięcznego nakładu książka sprzedawana będzie spod lady — dość nietypowej dla tego kącika pozycji: „Powszechnego atlasu świata". Odpowiada on rzeczywiście wymogom powszechności: spełnia rolę powszechnego źródła informacji, a jednocześnie odznacza się przystępnością dobranych metod kartograficznych i rozwiązań graficznych. Zestaw map w Atlasie odzwierciedla nowoczesne spojrzenie na problemy współczesnego świata, dokumentując to przewagą tematów społeczno gospodarczych nad tematami z geografii fizycznej. Atlas został znakomicie wykonany od strony edytorskiej i poligraficznej, za co należy się uznanie zespołowi Państwowego Przedsiębiorstwa Wydawnictw Kartograficznych.

Bardzo subiektywny charakter posiada dokonany przez Seweryna Poliaka wybór przekładów z poezji rosyjskiej „Przybliżenia", opatrzony podtytułem „Od Tiutczewa do współczesności". Odzwierciedla on osobiste gusty i umiłowania poetyckie tłumacza, który juz od 40 lat para się sztuką przekładu z literatury rosyjskiej. Antologia opiera się na kilku wielkich indywidualnościach poetyckich, które zdaniem Poliaka wyznaczają drogi nowoczesnej poezji rosyjskiej: na utworach Błoka, Achmatowej, Mandelsztama, Chlebnikowa, Majakowskiego, Pasternaka i Cwietajewej.

W serii albumów „Arkad" poświęconych najwybitniejszym malarzom światowym ukazała się nie tak dawno publikacja o Piotrze Bruegiu Starszym (1525—1569). Znakomitym pendant do tego monumentalnego albumu jest opublikowana właśnie przez krakowskie Wydawnictwo Literackie niewielka książeczka o twórczosci i życiu tego wielkiego malarza niderlandzkiego, zwanego Chłopskim; napisana przez znanego flamandzkiego poetę, Feliksa Timmermansa. Sam autor określił ją jako impresję na temat obrazów Bruegla, fascynujących swą poetycką i alegoryczną wizyjnością. Książka zawiera liczne reprodukcje dzieł malarza.

I jeszcze krótko o dwóch cennych „przewodnikach encyklopedycznych" Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Pierwszy, zatytułowany „Kopernik-Astronomia-Astronautyka", udziela wiele miejsca działalności i koncepcjom Astronoma Fromborskiego, ale nie jest tylko leszcze jednym rocznicowym hołdem, złożonym Kopernikowi. Publikacja ta, w której opracowaniu brali udział wybitni specjaliści pod kierunkiem prof. dr W. Zonna, zawiera 1500 haseł i stanowi syntetyczny zbiór informacji ze współczesnej astronomii i astronautyki, informacji wspartych bogatym materiałem ilustracyjnym (200 rysunków, 16 tablic). Książka wydana została bardzo starannie i w niezwykle krótkim jak na tego typu publikację czasie, co jest niewątpliwą zasługą edytora i Drukarni im. Rewolucji Październikowej.

Natomiast niezwykle przydatny dla nauczycieli i uczniów podejmujących decyzję wyboru tzw. „drogi życiowej" będzie słownik „Zawody i specjalności szkolnictwa zawodowego". Omawia on 542 zawody (aż tyle nam narosło!), do których kwalifikacje zdobywa się w zasadniczych szkołach zawodowych i technikach. Poszczególne hasła informują o pracy w każdym zawodzie, omawiają przygotowanie teoretyczne i praktyczne do zawodu, możliwości zatrudnienia, uwzględniają też wskazania i przeciwwskazania przy wyborze zawodu.

✠

Będąc „nadwornym" Wydawnictwa Polskiej Akademii Nauk, wydawcą „wąskoszufladkowych" prac przeznaczonych dla szczupłych stosunkowo kręgów specjalistów, wrocławskie Ossolineum ma swoje bestsellery, książki, bijące rekordy nakładów i popularności. Pozycje te, cieszące się ogromnym zainteresowaniem rynku księgarskiego, w sposób oczywisty nawiązują do dawnych tradycji oficyny, która ze swoimi monografiami i opracowaniami syntetycznymi, w piękny sposób popularyzującymi zdobycze polskiej i światowej humanistyki — miała ambicje trafić do szerszego grona odbiorców. Do najpoczytniejszych książek Zakładu Narodowego im. Ossolińskich należą tomy na szeroką skalę zakrojonego cyklu publikacji, obejmującego zwięzłe zarysy dziejów. Jest to jedyna w swoim rodzaju impreza zarówno naukowa, wydawnicza, jak i popularyzatorska: dać własne, oryginalne, polskie spojrzenie na dzieje innych narodów, ich kulturę. Kolejną, dziewiątą już pozycją tego cyklu jest „Historia Turcji" prof. Jana Reychmana, stanowiąca pierwszą podjętą w Polsce próbę ujęcia całości dziejów tego kraju. Ze zrozumiałych względów uwypuklono w niej polityczne i dyplomatyczne stosunki polsko-tureckie, sięgające swymi początkami XIV w. i mające — wbrew tkwiącemu w naszej świadomości odczuciu — charakter pokojowy, przyjazny (rząd turecki nie uznał rozbiorów Polski, w okresie II wojny światowej Turcja przyjęła i udzieliła pomocy wielu Polakom).

Fundamentalną pozycję z zakresu historii, historii kultury: przekład „Dziejów Grecji" wybitnego historyka angielskiego N. G. L. Hammonda, przyswoił naszemu rynkowi czytelniczemu PIW. Dzieło prof. Hammonda — jak pisze tłumaczka książki, Anna Świderek — spełnia podwójne zadanie: z jednej strony daje specjaliście do ręki wygodne, szczegółowe i aktualne kompendium naszej wiedzy o dziejach starożytnej Grecji, z drugiej zaś — przynosi laikowi łatwą w czytaniu i porywającą opowieść o Helladzie — kolebce kultury europejskiej. Autorowi udało się dokonać rzadkiej sztuki: napisać pracę, która nie tracąc nic ze swej naukowości jest zarazem świetną popularyzacją.

Krakowskie Wydawnictwo Literackie ofiarowało czytelnikom dwa interesujące tomy pamiętnikarskie. Wspomnienia Adolfa Gawalewicza „więźnia kilku najcięższych hitlerowskich obozów koncentracyjnych, zatytułowane „Refleksje z poczekalni do gazu", odznaczają się dużymi wartościami literackimi. Ich szczególną wartość, obok prostej, rzeczowej relacji o ludziach i faktach, stanowią rozważania autora, dotyczące problematyki moralnej czynów i postaw ludzkich w warunkach, gdzie powszechnie przyjęte normy etyczne przestały obowiązywać. Natomiast relacja z wędrówki „Na drogach do piekieł" są wspomnienia lekarza i żołnierza, Juliana Maja, który przemierzył szlak wojenny wiodący przez Rumunię, Francję, Szkocję, wybrzeża Afryki, kraje Bliskiego Wschodu aż po Monte Cassino, gdzie jako oficer liniowy — chirurg Głównego Punktu Opatrunkowego wziął udział w bitwie.

Z interesujących wznowień warto zasygnalizować dwie pozycje. Nakładem Instytutu Wydawniczego „Pax" ukazała się głośna powieść autobiograficzna szwedzkiego pisarza i lekarza, Axela Munthe, „Księga z San Michele". Książka, która w języku polskim po raz pierwszy została wydana w 1930 r., zyskała rangę światowego bestsellera i była tłumaczona na 44 języki. Miłośnicy pojemnych objętościowo, dostarczających wiele godzin pasjonującej lektury powieści historycznych z satysfakcją przyjmą książkę jednego z najpopularniejszych współczesnych pisarzy czechosłowackich, Josepha Tomana, pt. „Po nas choćby potop". Bohaterami powieści, traktującej o antycznym Rzymie, są postacie historyczne: cesarz Tyberiusz, jego następca na tronie Gajusz Kaligula, filozof L. A. Seneka...

Warto zwrócić uwagę na bardzo staranną w zamyśle i piękną w wykonaniu Biblioteczkę Aforystów Państwowego Instytutu Wydawniczego. W tym cieszącym oko bibliofilów i smakoszy, znakomicie opracowanym graficznie przez Leona Urbańskiego cyklu przypomniano właśnie jednego z największych mistrzów aforyzmu, Friedricha Nietzschego, a do końca roku „posypią" się kolejne tomiki Georga Christiana Lichtenberga i Alliszera Nawoi (wznowienia) oraz Karola Irzykowskiego i Marii Ebner-Eschenbach.

JAN OKOPIEŃ

POCZTA LITERACKA

EUGENIUSZ B. Warszawa. Idealnie wkomponował się Pan w zjawisko znane od lat. Jeśli jest moda na jakąś Sprawę czy Postać — setki ludzi pisze na te tematy wiersze. Tak jest dziś z Kopernikiem — i takie też właśnie — okazjonalne — są Pana wiersze. Wydawnictwo „Pojezierze" opublikowało nawet antologię wierszy poświęconych Kopernikowi. Tylko, że to są wiersze pisane **dawniej** — a więc nie na fali rocznicowej.

W swoich wierszach o Koperniku powtarza Pan tylko to, co w setkach wierszy było i to w sposób poetycko nieciekawy. Jest Pan 1001, który gwiazdy przyrównał do diamentów. Jest Pan 1001, który wymyślił obraz jak to astronom szuka swojej gwiazdy... I tak dalej i tak dalej... Nie napisał Pan tych wierszy z potrzeby serca, tylko z potrzeby rocznicy. Dlatego są nieudane.

ALFONS C. Łódź

„Tu elektrowni wielki gmach
w brunatnych cegłach stary grzech
wspomina Łódź czerwoną
szwajcarski frank pił polską krew

czerwoną nie zieloną
(...)
A życie które płynie dziś
to WEDEL ci osłodzi
na piętrze grucha z Anią Zdziś
szczęśliwi są dziś młodzi".

Przyznam się, że zawsze z zadumą biorę do rąk takie wiersze. Wierzę, że są one pisane z potrzeby serca, niestety, ani w życiu ani w poezji to wszystko nie jest takie proste. Zużyty stereotyp nie poruszy czytelnika — banalne stwierdzenia nie są w stanie pokazać czasu, który minął. Poezja to dojrzała refleksja, a nie zrymowany obrazek. To co Pan pisze, to są zaledwie banalne piosenki.

STANISŁAW A. Biała Podlaska. Wiersz „Na jubileusz Łodzi" zawiera te wszystkie stereotypy których zwykło się używać przy takich okazjach. „Śpiewasz głosem syren fabrycznych", „Płyniesz na łodzi rzeczką"... Ten wiersz brzmi jak wypracowanie na zadany temat. Przypuszczam, że gdyby napisał Pan o swoim rodzinnym, bliskim sobie mieście, byłoby jednak w takim wierszu nieco więcej uczucia.

M. KOZ. Bydgoszcz. W wierszu „Muzeum przyrodnicze" pisze Pan:

„Przepych wnętrza kamienia
marmurowo zmartwieniem —
ścięły się od octu spojrzeń
jelenie i zające w bazalt spokoju
niedźwiedzio pod sufitem wisi niepokój
biały owies szkli karty (...)"

Albo ma Pan oryginalną wyobraźnię, albo Pan to sprytnie wymyślił. W każdym razie z prezentowanej w dzisiejszej „Poczcie" porcji wierszy — tylko Pana zasługują na uwagę. Najlepsze są chyba wiersze „Dzielnica" i „Wystawa trumien". Zbyt banalny jest „Kaskader". W każdym razie mimo pewnych chropowatości — są to próby „na plus". Stanowczo należy pisać dalej.

KRYTYK

POWIĘKSZENIA

NIE TEN BECZKOWÓZ

17 października w DTV przedstawiono telewizyjny felieton na temat wody dla Łodzi. Tradycyjnie już pokazano zdroje uliczne oraz beczkowozy, które jeszcze tu i ówdzie dowożą w Łodzi wodę. Pokazano też Zalew Sulejowski. I wszystko byłoby w porządku, tyle że pokazany beczkowóz nie przewozi wody. Służy do oczyszczania... szamba.

Realizatorów telewizyjnego felietonu nie poczęstowalibyśmy szklanką wody z tego beczkowozu.

SZCZEROWICZ I POEZJA

W swoich cotygodniowych „Prowincjałkach" publikowanych na łamach „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" Szczerowicz zwierza się:

„Tydzień, który minął przypomina mi takie prywatnie tylko słyszalne pogrywanie na klawiaturze nie fortepianu i nie organów, a minionych trzech dziesięcioleci."

I dalej.

„Na kierunku tomaszowskim wchodzi człowiek w poezję. No bo i Tuwim i Ewa Demarczyk („A może byśmy tak, najmilsi, wpadli na dzień do Tomaszowa..."). Na cały dzień, nawet na pół dnia nie było czasu. Jedynie na sobotnie popołudnie."

Bogu dzięki!

TROSKA

Nowy prezes ŁKS — Wacław Zatke — jak poinformował o tym „Dziennik Łódzki" — na spotkaniu z dziennikarzami łódzkiej prasy, radia i telewizji przedstawił najbliższe zamierzenia:

„W najbliższym okresie władze ŁKS zamierzają powiększyć grono działaczy społecznych, rekrutujących się głównie spośród pracowników zakładów opiekuńczych. Ludzie ci będą wchodzić w skład zarządów wszystkich — 13 istniejących przy klubie sekcji".

Pomysł — dla nas bomba! Jeszcze trochę i każdy zawodnik będzie miał społecznego pomocnika. Jest to najlepsza droga do masowego sportu.

PROSTOTA

W „Ziemi Łęczyckiej" czytamy:

„...rzeczą naturalną jest zjawisko schodzenia pewnej części młodzieży na manowce. Są to jednak tylko odpryski od zdrowego ciała, jakim jest ogół naszej młodzieży. Te odpryski są, niestety, bardzo agresywne i boleśnie odczuwane przez społeczeństwo. Dlatego — wskazywano — należy czynić wszystko, aby zmniejszyć możliwość oddziaływania chorych jednostek na innych, a jednocześnie wszystkimi środkami działać przeciwko schorzeniom."

My też jesteśmy zdania, że odpryski od zdrowego ciała chorej jednostki są najbardziej agresywne.

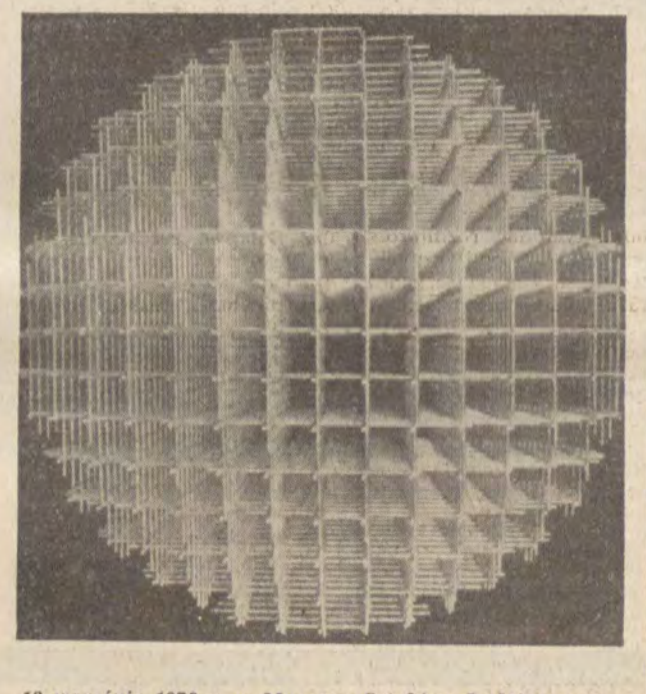

18 września 1973 r. w Muzeum Sztuki w Łodzi otwarta została wystawa Francoisa Morelleta.

KORONKOWA ROBOTA

§

Dyktatura mody jest nieubłagana. Pod jej wpływem znajdują się wytwórcy i odbiorcy, przy czym pierwszym przyświeca cel korzystnej sprzedaży, a drugim — szybkie „obnaszanie" nowości, dyktowane często snobistycznymi pobudkami. Modnym być — to dewiza wielu „hobbystów", a słabościom ich sprzyja pomysłowość producentów.

Ostatnio furorę zrobiły koszule koronkowe. Nie mam pojęcia, kto jest ich „wynalazcą" i nie ma znaczenia dociekanie na ten temat. Faktem natomiast jest, że prywatne wytwórnie szyją masowo właśnie koszule z koronek, noszone również przez młodych „elegantów". Tych samych, którzy ubierają się w buty na wysokich obcasach i noszą długie włosy.

Dla takich odbiorców trzeba szyć dużo i szybko. To się opłaca. Szyła więc także pani Helena K. Miała uprawnienia wydane przez Wydział Przemysłu RN m. Łodzi. Prowadziła pracownię wyrobu bielizny najpierw przy ul. Rzgowskiej, następnie przy ul. Felsztyńskiego. Pracownia prosperowała fantastycznie, a ostatnio specjalizowała się w produkcji koszul męskich z tkanin koronkowych...

Produkcję nadzorowała osobiście właścicielka, a prowadzeniem dokumentacji i zakupem surowca zajmował się Hubert K. Z zawodu był, co prawda, elektromonterem, kartę karalności wypełniano mu czterokrotnie, mieszkał w pracowni, a zameldowany był gdzie indziej, się to nie miało widocznie żadnego znaczenia w wykonywaniu funkcji u pani Heleny. Zresztą zatrudniała ona wiele osób, a część z nich pozostała w ukryciu, jako najemnicy nie zgłoszeni oficjalnie. Chodziło bowiem o ukrycie faktycznego rozmiaru produkcji, który — jak wyliczył Inspektorat Kontrolno-Rewizyjny — wyrażał się obrotem, sięgającym niemal miliona złotych rocznie.

Wobec tak poważnej produkcji trzeba było kupować dużo tkaniny koronkowej. Kupowano gdzie się dało. Ostatnio „dało się" załatwiać to bardzo korzystnie: u złodziei mienia z Łódzkiej Fabryki Koronek „Fako".

Kontakt nawiązano w lutym ub. roku Eugeniusz K. — kierowca zatrudniony w „Fako" przyjął propozycję Heleny K. i Huberta K., a propozycja owa brzmiała mniej więcej tak: **jesteśmy w stanie zakupić każdą ilość tkaniny koronkowej. Kradzioną przez pana i kolegów koronkę w „Fako" proszę dostarczyć do pracowni".**

I tak się zaczęło. Dostarczano koronkę do pracowni, do mieszkania, do... stodoły matki pani Heleny w Szatoni koło Łodzi. Tu chowano, tam ukrywano, przewożono, mierzono, krojono i szyto koszule... cienkimi nićmi. Od marca do września 1972 r. kierowca i jego wspólnik „zaopatrzeniowiec" — Andrzej K., konwojent z „Fako" i inni — dostarczyli pracowni około 630 metrów różnej tkaniny koronkowej i ponad 300 kompletów ściągaczy z przędzy elastilowej...

Interes prosperował znakomicie, pracownia dawała odpowiednie dochody, pani Helena spędzała urlopy nad Czarnym Morzem. Tam została „natchniona" ideą pomnożenia sobie jeszcze zarobków drogą zaopatrzenia mieszkańców krajów czarnomorskich w popularne „kapy". Kiedy więc projektowała wycieczkę do Rumunii, poczyniła odpowiednie przygotowania: kupiła 12 kap, inaczej zwanych narzutami. Kupiła „okazyjnie" — kradzione. Tłumaczyła się potem, że nie miała pojęcia o takim pochodzeniu towaru, którym chciała zrobić przyjemność sąsiadom z Południa. Była przekonana, że człowiek, od którego nabyła, nie oszukuje jej mówiąc, że kupił w sklepach uspołecznionych. Jako niewiasta biegła w swej produkcyjno-handlowej specjalności, nie mogła nie zauważyć, że kapy były nie wykończone, a w takiej formie nie znajdują się w sprzedaży. Opuściły Spółdzielnię Pracy Tkacko-Dziewiarską przed zakończeniem cyklu wykończeniowego, a stało się to za sprawą niejakiego Eugeniusza D., który został potraktowany odrębnym postępowaniem dochodzeniowym.

Koronkowy interes w „koronkowej robocie" zrobił generalną klapę. Ujawnienie kradzieży w „Fako" (dużo osób wyróżniono odrębnym postępowaniem) doprowadziło do zamknięcia jednego z poważnych źródeł zaopatrzenia elegantów w koronkowe koszule. Pracownia po „remanencie" nie została otwarta, a przedsiębiorcy zostali... zamknięci. Nie wiemy, czy w areszcie tymczasowym mają okazję na projektowanie nowych fasonów modnych koszul, ale wiemy na pewno, że niebawem wróci do branży. Na poczet ewentualnej grzywny, grożącej Helenie K., z orzeczenia sądu dokonano zajęcia ruchomości o wartości przeszło 90 tys złotych.

Mam niejasne przeczucie, że niejednego eleganta, odzianego w koronkową koszulę firmy Helena K. — skóra zaplecze kiedy się dowie, w jaki to sposób powstała szykowna osłona jego torsu.

ZOFIA TARNOWSKA

DON KICHOT

„Przemyślny szlachcic Don Kichote z Manchy" (El ingenioso hidalgo Don Kichote de la Mancha) — książka pomyślana jako satyra na rozplenione w owym czasie rycerskie romanse, początkowo niezbyt chętnie brana do ręki, stała się wkrótce niespodziewanie bestsellerem światowym, aż po nasze dni. Don Kichot, bohater powieści i jej autor Miquel de Cervantes Saavedra, żyjący na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku stali się natchnieniem dla wielu późniejszych artystów, poetów, dramaturgów. Postać Don Kichota półobłąkanego, błędnego rycerza rozmaicie bywała interpretowana, zależnie od epoki i jej zwyczajów, jej myśli filozoficznej. Patetyczny i groteskowy, szlachetny, bezinteresowny, tragiczny i humorystyczny zarazem, romantyczny i sceptyczny, zabawny i żałosny Don Kichot defiluje ze swym wiernym sługą Sancho Pansa przemierzając od wieków świat, zjawiając się przed nami w niezliczonej ilości wciąż na nowo i w różnych językach drukowanych o nim książek, bawi nas na scenach teatrów, jest wiecznie żywym bohaterem filmów i musicali.

Postać Don Kichota od wielu dziesiątków lat narzucała się też malarzom i rysownikom. Zaczęło się, jak zwykle w takich przypadkach, od ilustrowania samej książki, choć pierwsze wydanie „Don Kichota", to, które mógł trzymać w swych rękach Cervantes, nie zawierało żadnych ilustracji. Powieść początkowo nie zyskała sobie popularności w ojczyźnie autora. Dopiero uznanie jakie zdobyła sobie we Francji sprawiło, że spopularyzowała się i w Hiszpanii. Już w roku 1605 gdy wznowiono powieść w Walencji, na tytułowej karcie pojawiła się ilustracja rycerza na koniu, w zbroi, z hełmem przyozdobionym pióropuszem, trzymającego pikę nastawioną ku niewidzialnemu wrogowi.

Jest to jednak typowa dla owych czasów postać rycerza, niezindywidualizowana i nic nie wskazuje na to, że rysownik zapoznał się z treścią samej książki. Dopiero w roku 1618, a więc w dwa lata po śmierci Cervantesa ukazuje się ilustracja w nowym wydaniu „Don Kichota". Ilustracja owa przedstawia bohatera powieści wraz z jego wiernym sługą Sancho Pansa. Od tego właśnie momentu Don Kichot i jego sługa pojawiać się będą coraz częściej w grafice światowej. Dwie tendencje zaznaczą się przy tym w sposobie interpretowania powieściowego bohatera. Jedna przypisywać mu będzie głównie cechy zabawne, śmieszne, satyryczne, groteskowe, druga — cechy rycerza bez skazy, szlachetnego obrońcy uciśnionych i biedaków, wiernego kochanka Dulcynei. Już w osiemnastym wieku pojawią się ilustracje, rokokowe sceny z „Don Kichota" przypominające maskarady, zabawy dworzan ubranych stosownie do swej epoki, a równocześnie pojawią się inne, w stylu jaki będzie później reprezentatywny dla twórczości np. malarza Davida, przedstawiające Don Kichota jako postać bohaterskiego, dzielnego samotnika pełnego rycerskich cnót.

David i jego szkoła zobaczą w Don Kichocie przede wszystkim piękno klasycznych bohaterów, surowy patos. A gdy w Hiszpanii pojawi się artysta tej miary co Goya, zinterpretuje on na swój własny sposób postać powieściowego hidalgo. Goya, geniusz artystyczny, człowiek o niezwykle żywym temperamencie i oryginalności twórczej, szarpany wewnętrznymi sprzecznościami, żyjący w niespokojnej erze wydarzeń historycznych, w pewnym okresie swego życia zajmie się całą duszą postacią Don Kichota widząc w nim wykwit hiszpańskiego folkloru, fantastyki, głębokich, choć nie zawsze dla nas zrozumiałych symbolów. Jego postać Don Kichota — to ogromnego wzrostu chudy starzec, wokół którego Goya poumieszczał chimery i demony, dziwne zwierzęta, dwie ładne kobiety i mnicha. Nikt do dziś dokładnie nie wie, co miały symbolizować te wizerunki. Goyi nie chodziło bowiem o zilustrowanie powieści, lecz chciał na swój własny sposób przedstawić umiłowaną postać rycerza z powieści.

Romantycy ujrzą w Don Kichocie przede wszystkim samotnika, marzyciela, jednostkę tragiczną, szlachetną, ale skłóconą ze światem. Don Kichot w ilustracji np. sir Roberta Smirke'a — to romantyczny samotnik o wychudzonej, uduchowionej twarzy, siedzący na skale, wypatrujący wzrokiem dal, trzymający patetycznym gestem rękę na sercu. Marzący o czym? O wielkich i bohaterskich czynach? O swej umiłowanej Dulcynei?

Jednym z twórców, którzy poświęcili wiele uwagi bohaterowi powieści Cervantesa był grafik, rysownik, malarz Gustaw Doré. Artysta nie tylko studiował latami gruntownie „Don Kichota", zwracając baczną uwagę na wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, ale wybrał się do Hiszpanii by podróżować szlakiem wędrówek hiszpańskiego hidalgo ze szkicownikiem i notesem w ręku. Doré wykonał aż 370 ilustracji, większych i mniejszych, do powieści Cervantesa. Były to tak świetne ilustracje, że młody Verlaine pisał później, iż marzy o tym by napisać wiersze, które ilustrowałby Doré. To on, Doré narzucił już na zawsze naszej wyobraźni wygląd postaci Don Kichota — chudego, z rzadką brodą, rycerza o żarliwym spojrzeniu i gwałtownych ruchach.

Innym artystą, który wiele uwagi i pracy poświęcił powieści Cervantesa był Daumier. Czerpał on dość obficie z doświadczeń Doré'go, ale jego Don Kichot bliższy był raczej Don Kichotowi Goyi. Bo też Daumier jak i Goya nie pragnął ilustrowania powieści. I właściwie żadna ze scen przedstawionych przez Daumiera nie odpowiada ściśle żadnej scenie z Don Kichota. Jego rysunki swobodnie interpretują tekst Cervantesa, odznaczają się za to ogromną siłą wyrazu, zdumiewającą ekspresją w przedstawieniu postaci ludzkich i wizerunków zwierząt. Jakże jest pełna tragicznego bólu twarz Sancho Pansa, tego wesołka i grubasa, gdy tuli do piersi rozumny, zdawałoby się, pysk swego ulubionego osiołka.

Wielu jeszcze artystów czerpało natchnienie z dzieła Cervantesa. I w naszym wieku pojawił się genialny artysta, również Hiszpan jak Cervantes, a który dał światu nową wizję artystyczną Don Kichota. Malarzem tym był Picasso. Jego Don Kichot — to zdawałoby się postać z rysunków wykonanych ręką dziecka, a przecież odzwierciedla tak wiele. Bo Don Kichot Picassa to człowiek śmieszny, chory, żałosny nawet, a przecież równocześnie nieugięty, dumny i szlachetny. W rysunkach Picassa splotły się w sposób doskonały cechy groteskowej donkiszoterii i zarazem tragizm i patos dziejów i czynów rycerza z Manchy.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Zdarzenia · I · Zwierzenia

TWORZENIE TRADYCJI

Wpadły mi ostatnio do rąk dwie charakterystyczne książeczki – jedna dotyczy Wrocławia, druga Krakowa, obie wszakże skłaniają do refleksji na temat Łodzi.

Pierwsza książka to piękny album „Współczesna grafika Wrocławska 1945–1965“ Ireny Rylskiej. Jak powszechnie wiadomo, żadnej wybitnej chyba grafiki we Wrocławiu nie ma. Przypisany tam Józef Gielniak należał do tamtejszego oddziału raczej formalnie – większości prezentowanych w albumie prac naprawdę daleko od miana wybitnych osiągnięć. Ale taka książka jest Wrocławowi potrzebna, bowiem potrzebna jest każdemu środowisku artystycznemu. I takiej książki w Łodzi nie ma, choć tutaj tworzą artyści, którzy nadają ton współczesnej grafice polskiej.

A przecież takie książki-dokumenty, książki-przyczynki są konieczne dla prawidłowego emanowania tzw. atmosfery twórczej.

Druga książeczka jest także wielce charakterystyczna. Są to drobiazgi satyryczne Witolda Zechentera z lat bez mała pięćdziesięciu. Wybredne i bardzo dbałe o poziom Wydawnictwo Literackie opublikowało te – słabiutkie niejednokrotnie – gamotki. Czyżby wydawca przysnął? Nic podobnego! Wydawca zrobił słusznie publikując tę książkę, bowiem zawiera ona w lekkiej i błahej formie całą niemal historię literacko-publicystyczną Krakowa.

Przypisy Zechentera do dziesiątków prawie dziś nieczytelnych wierszy, fraszek i parodii – są kopalnią wiedzy i anegdoty o literaturze lat międzywojennych. Taka książka była potrzebna, choć współczesny czytelnik może się żżymać na poziom tych utworów. Ale przypisy będzie czytał z wypiekami na twarzy. Z przypisów dowie się więcej niż z uczonych rozpraw historyków literatury. A w każdym razie te przypisy poszerzają wiedzę czytelnika o szczegóły może błahe, ale istotne dla zrozumienia obrazu ówczesnej literatury i publicystyki.

I znów wracamy do Łodzi. Nie mamy bowiem podobnej książki – prezentującej w lekki, zajmujący sposób literaturę i publicystykę Łodzi lat międzywojennych. A przecież działo się tu wiele – nie wspomnę już o Tuwimie, Światopełku Karpińskim, działała grupa „Meteor“, wychodziły różne zabawne pisemka, były literacko-artystyczne spory, dzisiejszy książę realistów Konstanty Mąckiewicz epatował publikę abstrakcyjnymi obrazami...

Łódź była obiektem tzw. wielkiego reportażu literackiego... I tu na szczęście dzięki mrówczej niemal pracy mojego redakcyjnego kolegi, Konrada Frejdlicha, ukaże się niebawem dokumentalny tom, prezentujący ów międzywojenny reportaż o tematyce łódzkiej. Nie zdążono z tą książką na obchody 550-lecia Łodzi – ale dobrze, że w końcu jest.

Nie ma jednak w dalszym ciągu poetyckiego dokumentu Łodzi, nie ma antologii wierszy o tym mieście... Sam się trochę tymi sprawami interesowałem, poza tym miałem okazję niejako „zerknąć przez ramię“ na antologię poezji łódzkiej, opracowaną przez p. Barbarę Stelmaszczyk z UŁ, wiem przeto, że jest tam ogromnie interesujący materiał. Wbrew potocznej gadce – o Łodzi pisały dziesiątki poetów na przestrzeni bez mała wieku. Częstokroć są to wiersze wysokiej próby...

I nie ma takiej antologii.

Ostatnio „łódzkich“ książek przybywa. Jerzy Urbankiewicz ma na swym koncie prawie całą biblioteczkę „łodziaków“, niestety nie doczekał się w tym mieście za swą pracę oficjalnego uznania. Odnosi się czasem wrażenie, że drążenie łódzkich tradycji jest w Łodzi zajęciem diablo niewdzięcznym. Może są to mylne wrażenia – nie wiem... Wiem natomiast, że w tworzeniu atmosfery dobrze pojętego patriotyzmu – takie właśnie książki przyczynkarskie, antologiczne, ciekawostkowe, mają ogromne znaczenie. Poważne, solidne dzieła historyczne są potrzebne, to oczywiste, ale ich rezonans czytelniczy jest stosunkowo niewielki. Dla tworzenia atmosfery potrzebna jest właśnie książka popularna, książka dokumentalna, nie nużąca, zajmująca... Wciąż na takie książki czekają łódzcy czytelnicy.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN **FRYZURY**

LEWYM OKIEM!

POKÓJ ZDZIWIEŃ

Zdrowy rozsądek bywa w wielu wypadkach najwłaściwszą instancją do rozstrzygania wątpliwości, ale tylko i wyłącznie w sprawach małych, codziennych, powtarzających się typowo w doświadczeniach mnóstwa ludzi. Zdrowy rozsądek traktowany jako perspektywa, z której oglądać należy smętne a potężne zjawisko zwane rzeczywistością, to absolutna pomyłka.

Ze zdrowym rozsądkiem trudno pogodzić fakt, że nasi bracia z Australii chodzą zwróceni do nas nogami i że woda z oceanów nie wyleje się w pustą przestrzeń. Jak nachylić miskę – to zawsze się wylewa. A jak nachylić całą ziemię – to się nie wylewa! Takim argumentem – niezależnie od argumentu mistycznego, powołującego się na autorytet Biblii i proroka Jozuego – zwalczali tezę o kulistości ziemi ludzie, którym zdawało się, że trzeźwo, rozsądnie myślą.

Bardzo trzeźwi encyklopedyści francuscy z Wolterem na czele nie mogli sobie wytłumaczyć znajdowania muszli morskich na szczytach gór inaczej, niż tym, że zostały tam przyniesione przed wiekami przez ludzi. Milionletnie przemiany lądów w oceany i na odwrót, ruchy skał w górę i w dół – to było sprzeczne z ich doświadczeniem, a więc i ze zdrowym rozsądkiem.

Sprzeczne z naszym doświadczeniem i z naszą możnością tłumaczenia sobie wszelkich zjawisk jest założenie, że można samym wzrokiem posunąć filiżankę po stole. To są cyrkowe, kramarczne kawały, takie same jak królik w pustym kapeluszu i piłowanie dziewicy na dwoje. A – na przykład – czy można rzucić coś w górę, żeby już nidy nie spadło? To przecież absurd!

A właśnie, że nie absurd, tylko całkiem oczywista rzecz: można wyrzucić sputnika, który zostanie na księżycu albo nawet poleci gdzieś w nieskończone próżnie kosmosu, a na ziemię nie spadnie już nigdy. Więc może i z tą filiżanką wędrującą po stole też nie taki cyrk?

W ogóle najlepiej nie ferować żadnych dogmatów w imię zdrowego rozsądku ani nie powoływać się na reguły racjonalnego myślenia. Racjonalność też przechodzi ewolucję. Oto zebrali się w Pradze uczeni z całego świata, w tym radzieccy (którym nikt nie zarzuci umistyczniania rzeczywistości), amerykańscy, niemieccy i inni – aby przedyskutować dziwne zdolności niektórych osób. Ktoś na przykład ponad wszelką wątpliwość odgaduje proste myśli innej osoby i stosuje się do jej pomyślanych poleceń. Kto inny samym myśleniem zmusza do poruszenia się martwe przedmioty. Mnóstwo ludzi daje sobie łatwo wmówić, że ich rozpłatany i operowany właśnie brzuch wcale ich nie boli, mnóstwo ludzi nie czuje piłowania żywcem własnej czaszki, kiedy ich szpilką ukłuć w piętę.

„Kultura“ poświęciła niedawno dwa duże artykuły zjawiskom, które usiłuje się obecnie tłumaczyć jakąś energią biologiczną, jakimś promieniowaniem, emanowanym tylko przez materię żywą. Jeszcze nie bardzo wiemy, kiedy ta sama bakteria przestaje być kryształkiem, a zaczyna być najmniejszą odrobiną życia i na odwrót; ale oto wiemy już, że na stan psychiczny człowieka reaguje roślina! Wracasz smutny do domu, a tu kaktusy więdną. Wybaczcie zwulgaryzowanie sprawy, to oczywiście straszliwa przesada, kaktusy nie więdną. Ale dzieje się coś w roślinach, co rejestrują aparaty, i to dzieje się w niewątpliwym związku ze stanem psychicznym osoby, znajdującej się w pobliżu. Ponieważ nie ma żadnych kontaktów fizycznych, najlepiej mówić o promieniowaniu, tak jak kiedyś mówiło się o „sile“, przeważnie „nieczystej“.

Uczeni, nie znachorzy i szarlatni, rozprawiają dziś o zmieniającej się otoczce człowieka, uchwytnej jakimiś tam aparatami, w zależności od stanu jego zdrowia. Dla uproszczenia nazwijmy tę otoczkę aureolą czy też warstwą światła, chociaż oczywiście nie o tęczę nad głową tu chodzi ani o błyszczenie w nocy.

Uczeni, budujący supernowoczesny obiekt naukowy – reaktor atomowy w Świerku – wezwali podobno różdżkarza, który trzymając kawałek wierzbiny w ręku powiedział im, gdzie jest woda. Nie śmiejcie się, to piszą najpoważniejsze pisma, więc to jest pewnie prawda. Piszą też, że angielskie wojska na Saharze w czasie ostatniej wojny miały w każdym oddziale etatowego różdżkarza do znajdowania wody! Naturalnie, że dopóki mechanizm i zasady działania różdżki razem z różdżkarzem nie są zbadane lepiej, dopóki nie są sprawdzalne i możliwe do eksperymentalnego odtworzenia w sztucznie stworzonym układzie, dopóty łatwo tu o mistyfikację, kant i nabieranie frajerów. Nie znaczy to jednak, że cała rzecz jest jedną wielką bzdurą.

Już się w uczonych dysertacjach pisze o przewadze pewnych stanów psychicznych w pewnych obiektywnych warunkach; mało brakuje, a będziemy umieli – nie poprzez wyobraźnię, jak w kinie, w teatrze czy w książce, tylko przez dobranie odpowiedniej pory dnia, roku, przedmiotów otaczających, temperatury – wywołać gniew, radość, miłość i miłą filozofom ataraksję czyli sceptyczną obojętność. Będziemy sobie urządzać w domu kącik smutku i pokoik wesołości. Takiej sobie, bez powodu. Ja sobie wtedy urządzę gabinet zdziwienia. Siądę i zacznę się dziwić, że w ogóle się dziwię, zamiast przejść do kuchni i popaść od razu w stan tępej sytości. W międzyczasie może naprawią sieć emanującą szczęście i wszystko będzie jak trzeba.

ĆWIEK

PRZESZŁOŚĆ teraźniejszość

ROK 1973 – PIĘĆSET I DWIEŚCIE

Rok 1973: mija w nim pięćset lat od narodzin Mikołaja Kopernika i dwieście, od powołania do życia w Polsce pierwszej w europejskiej skali państwowej instytucji, której celem było zrealizowanie reformy publicznego systemu oświatowego. Chociaż zbieżność rocznic jest dziełem kalendarzowego przypadku, przecież nie sposób odmówić racji wybitnemu naszemu uczonemu, Bogdanowi Suchodolskiemu, gdy powiada on, że pomimo to istnieje między ich treścią i znaczeniem „pewna głębsza więź“.

Imię Mikołaja Kopernika słusznie kojarzy się w naszych umysłach z walką o naukowy pogląd na świat, jaka toczyła się u schyłku średniowiecza i w początkach odrodzenia. Nie było przypadkiem, że kiedy w epoce Oświecenia podjęto u nas wielokierunkowe zmagania o przekształcenie światopoglądu obywateli kraju, właśnie teoria Kopernika mogła się stać orężem, który mógł spełnić istotną rolę w przezwyciężaniu sarmackiego zacofania i formowaniu nowego poglądu na świat. Nie było więc przypadkiem, że jeden z czołowych twórców naszej nauki w owej nowej, oświeceniowej epoce, Jan Śniadecki oddał Mikołajowi Kopernikowi hołd w swym dziele, w którym wskazywał na aktualność treści teorii kopernikańskiej w jego współczesnych mu czasach, dla pokolenia Komisji Edukacji Narodowej.

„Gdy więc z wyroków narodowego calendarium – przytoczmy słowa B. Suchodolskiego – **zbiegają się przypadkowo w roku 1973 obie rocznice, to naukowa i społeczna rzeczywistość, której są wyrazem, okazuje się wewnętrznie powiązana, a historyczna refleksja, jaką dziś łącznie wzbudzają, jest usprawiedliwiona przez te pokrewieństwa znacznie głębiej, niż mogłaby być przez okolicznościową zbieżność dat. Dlatego, mówiąc o Koperniku, mówimy słusznie o całej polskiej kulturze, z której wyrastał i której służył przez wieki; dlatego, mówiąc o Komisji Edukacji Narodowej, nie powinniśmy się ograniczać do tych krótkich lat jej działalności, ale widzieć ją również na tle całości naszego narodowego życia“.**

Obchody rocznicowe są sprawą publiczną, nic więc dziwnego, że stosunkowo wielu z nas zwraca baczną uwagę na okolicznościowe publikacje, jakie w związku z nimi pojawiają się na witrynach księgarni. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rocznica kopernikowska została wszechstronnie przygotowana przez polski i zagraniczny świat naukowy i dziś każdy zainteresowany czytelnik dysponuje wcale znacznym serwisem różnorodnych publikacji poświęconych dziełu wielkiego polskiego myśliciela. Na czoło wysuwają się tu monumentalna edycja dzieł Mikołaja Kopernika, ogłaszana pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk, oraz towarzysząca im seria naukowych rozpraw, ogłaszanych w różnych językach, publikowana w ramach PANowskich studiów kopernikańskich. Ukazało się wcale sporo interesujących dzieł o charakterze bardziej syntetycznym, dostępnych już nie tylko dla uczonych, ale adresowanych do szerszych kół czytelników, popularyzujących postać i dzieło uczonego, ukazywane w szerokiej perspektywie dziejów walki człowieka o naukowy pogląd na świat. Pomijamy tu inne, nawet ważne, przedsięwzięcia związane z rocznicą kopernikowską: już to, co możemy obejrzeć w księgarniach, co dotarło na półki naszych bibliotek, skłania do optymistycznej oceny.

Czy można ją odnieść także do drugiej, jakże związanej z tą pierwszą, rocznicy utworzenia Komisji Edukacji Narodowej. Proponuję wędrówkę po księgarniach — sam odbyłem ją przed kilkoma dniami. Prawda, i dobrze to, że nasze domy wydawnicze postarały się o dostarczenie nam pewnej porcji lektur, ale przecież nie jest ona bynajmniej zbyt obfita ani też pod względem bogactwa treści może być porównana z publikacjami kopernikańskimi. Mam przed sobą dwie z kilku okolicznościowych publikacji, jakie ukazały się stosunkowo niedawno.

Pierwszą jest eseistyczna praca Bogdana Suchodolskiego, wydana w serii „Omega“, drugą książka Renaty Dutkowej „Komisja Edukacji Narodowej“, opublikowana przez „Ossolineum“. Oba dziełka, podobnie jak kilka innych, które są dziś dostępne, mają na celu przede wszystkim zadania popularyzatorskie, na pewno pierwsze z nich spełnia je z większą korzyścią dla czytelnika, co jest zasługą wybitnego uczonego o znakomitych umiejętnościach syntetycznego spojrzenia na opisywane zjawiska i problemy. Ale przecież – powiedzmy to sobie wyraźnie – żadne z tych czy innych prac nie wykracza w zasadzie poza znany dotychczas krąg ustaleń i nawet jeśli proponuje ich reinterpretację, pozostaje wciąż w kręgu tego wszystkiego, co o Komisji Edukacji Narodowej na ogół wiadomo i to od dość dawna. Z pewnym niepokojem obserwujemy tedy brak nowych, ambitnych, podobnych do tych, jakie zrodziła rocznica Mikołaja Kopernika, dzieł o poważnym charakterze, które mogłyby być milowym krokiem na drodze naszego poznania tych dawnych, ale przecież aktualnych spraw. Zastanawia, dlaczego nikt nie pokusił się o nowe, poprawne wydanie ustawodawstwa Komisji czy związanych z jej działalnością raportów szkolnych. Zastanawia i niepokoi zarazem, dlaczego jak dotychczas nie pokuszono się o udostępnienie szerokiemu kręgowi czytelników jedynego syntetycznego, opartego na ogromnej bazie źródłowej dzieła o Komisji, jakie wydane zostało przez francuskiego historyka, wielkiego przyjaciela Polski i znawcy jej przeszłości Ambroise Jobert w Paryżu w 1941 r., opatrzonego tytułem: „Komisja Edukacji Narodowej w Polsce (1773–1794)“, pracy po dziś dzień niezastąpionej mimo całego późniejszego postępu nauki, tym pożyteczniejszej, że nie słychać aby miało się ukazać dzieło, które mogłoby ją w pełni zastąpić. Publikacje popularyzatorskie znaczą sporo, ale nie wszystko, co warto sobie uświadomić.

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa – Książka – Ruch“ – Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch“ – z zaznaczeniem na „Odgłosy“ Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa – Książka – Ruch“, Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 2074. T-4. Nr indeksu 37006